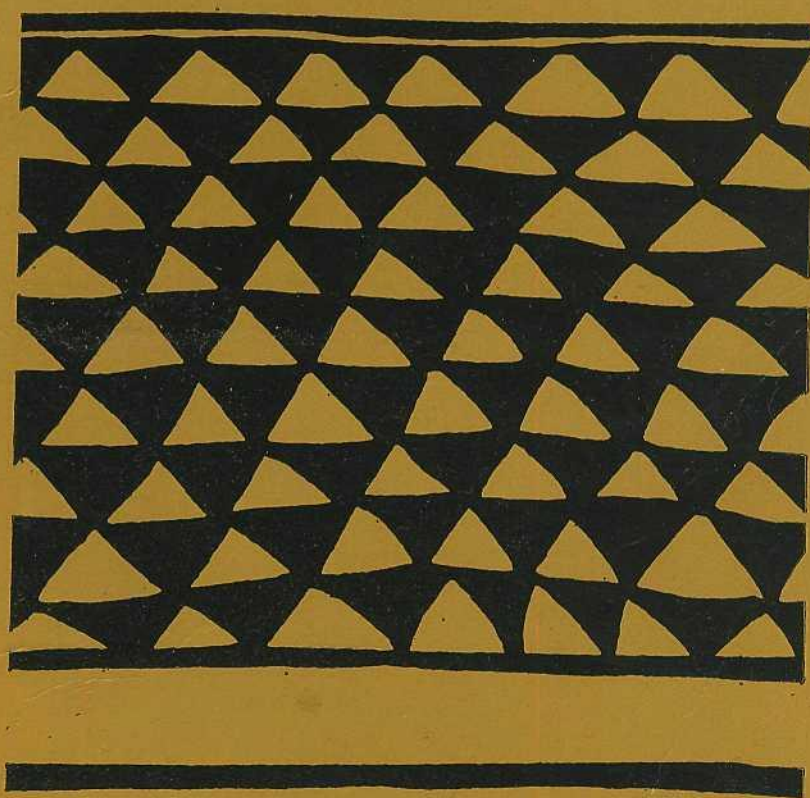


ERNESTO SÁBATO

TUNEL

WYDAWNICTWO
LITERACKIE



I Wystarczy, że powiem, iż jestem Juan Pablo Castel, malarz, który zabił Marię Iribarne. Sądzę, że proces pamiętają jeszcze wszyscy, nie widzę więc potrzeby udzielania bardziej wyczerpujących wyjaśnień co do mojej osoby.

Zresztą, kto to wie, o czym ludzie pamiętają i dlaczego? Co do mnie, zawsze byłem zdania, że pamięć zbiorowa nie istnieje, co jest może pewną formą samoobrony rodzaju ludzkiego. Powiedzenie „wszystko w przeszłości było lepsze” nie dowodzi, że dawniej zdarzało się mniej rzeczy złych, raczej wskazuje na to, że ludzie, na szczęście, o nich zapominają. A więc wyżej wspomniany frazes pozbawiony jest znaczenia powszechnego. Ja, na przykład, zwykle pamiętam raczej zdarzenia złe, więc mógłbym z powodzeniem twierdzić, że „wszystko w przeszłości było gorsze”, gdyby nie to, że terażniejszość wydaje mi się równie straszna jak przeszłość. Pamiętam taką masę obrzydliwości, tyle cynicznych, drapieżnych twarzy, tyle złych czynów, że pamięć stała się dla mnie jakby przyćmionym światłem, ukazującym brudne Muzeum Wstydu. Ileż to razy tkwiłem w ciągu długich godzin wtulony w jakiś ciemny kąt pracowni po przeczytaniu w gazecie kroniki policyjnej. Zresztą muszę stwierdzić, że nie wszystko, co hańbi rodzaj ludzki, jest tam publikowane. Do pewnego stopnia przestępcy są ludźmi bardziej czystymi, bardziej bezbronnymi. Stwierdzam to nie dlatego, że sam mam na sumieniu życie ludzkie. Jest to moje szczere i głębokie przekonanie. Jednostka jest szkodliwa? A więc należy ją zlikwidować, i skończone. Nazwałbym to dobrym uczynkiem. Proszę tylko pomyśleć, ile szkody ponosi społeczeństwo, jeśli taki osobnik w dalszym ciągu rozsiewa zło, gdy, zamiast go wyeliminować, przeciwdziała się jego aktywności uciekając się do anonimów, oszczerstw i tym podobnych niskich postępów. Co do mnie, przyznam się, żałuję, że nie wykorzystałem lepiej czasu swojej wolności i nie zlikwidowałem sześciu czy siedmiu znanych mi typów.

Niezaprzeczalnie świat jest obrzydliwy. Wystarczy, że przytoczę tu jeden fakt: kiedyś czytałem w prasie, że w jakimś obozie koncentracyjnym, gdy pewien eks-pianista uskarżał się na głód, zmuszono go do zjedzenia

ż y w e g o s z c z u r a .

II Jak już wspomniałem, nazywam się Juan Pablo Castel. Moglibyście mnie zapytać, co skłania mnie do tego, bym opisał historię swojej zbrodni (nie wiem, czy już wspomniałem, że będę relacjonował swoją zbrodnię), a przede wszystkim, bym szukał dla tej historii wydawcy. Znam dość dobrze duszę ludzką, sądzę więc, że będę posądzony o próżność. Myślcie, co chcecie: nic mnie to nie obchodzi; od niedawna wcale się nie przejmuję opinią i sprawiedliwością ludzką. Sądzcie więc, że publikuję tę historię przez próżność. Ostatecznie przecież jestem z mięsa, kości, skóry i paznokci, jak wszyscy ludzie, i byłoby niesprawiedliwością, gdyby ode mnie, właśnie ode mnie, wymagano - kwalifikacji specjalnych. Człowiek nieraz uważa się za nadczłowieka, aż spostrzeże, że i on jest podły, brudny i perfidny. O próżności nie mówię; uważam, że nikt nie jest pozbawiony tej cechy, która stanowi ważny motor Postępu Ludzkości. Śmieszą mnie wszyscy ci panowie, którzy popisują się skromnością Einsteina lub czymś w tym rodzaju. Moja odpowiedź: ł a t w o przychodzi być skromnym, to jest udawać skromnego, gdy się jest sławnym. Nawet wtedy, gdy zjawisko to na pozór zdaje się absolutnie nie zachodzić, ujawnia się ono w postaci najbardziej subtelnej: w pysze skromności. Jakże często stykam się z tego rodzaju osobnikami! Nawet taki człowiek, rzeczywisty czy tylko symboliczny, jak Chrystus, dla którego miałem i po dziś dzień mam jak najgłębszą cześć, wypowiadał słowa podyktowane próżnością lub co najmniej pychą. A cóż mówić o Leonie Bloy, który się bronił przed oskarżeniem o zarozumiałość argumentem, że przeszedł przez życie służąc ludziom, którzy mu nie sięgali do kolan? Pycha gnieździ się nieraz w miejscach najbardziej nieoczekiwanych: obok dobroci, gotowości do poświęceń i szlachetności. Gdy byłem mały i z przerażeniem myślałem o tym, że matka moja któregoś dnia będzie musiała umrzeć (z biegiem lat człowiek się przekonuje, że śmierć jest nie tylko znośna, lecz również po-krzepiająca), nie wyobrażałem sobie, by moja matka mogła mieć jakieś ułomności. Teraz gdy jej już nie ma, muszę przyznać, że była taka dobra, jak tylko może być istota ludzka. Pamiętam jednak, że w ostatnich latach jej życia, gdy już byłem dorosłym mężczyzną,

z wielkim bólem odkrywałem pod płaszczykiem najlepszych jej czynów subtelną zaprawę próżności lub pychy. Coś bardzo wymownego przydarzyło mi się, gdy ją operowano na raka. By przybyć na czas, musiałem jechać całe dwa dni nie śpiąc zupełnie. Gdy stanąłem u łóżka matki, jej trupia twarz wysiliła się na lekki, najczulszy uśmiech, a usta wyszeptaly kilka słów współczucia (ona współczuła mojemu zmęczeniu!). Ja zaś odczuwałem niejasno zadowolenie i dumę, że przybyłem tak szybko. Wyznam to, byście widzieli, jak dalece nie uważam się za lepszego od innych.

Mimo wszystko jednak nie relacjonuję tej historii przez próżność. Gotów byłbym może zgodzić się, że jest w tym coś z pychy lub dumy. Do czego jednak prowadzi ten nawyk szukania wytłumaczenia wszystkich naszych postępów? Gdy zacząłem pisać tę opowieść, byłem jak najbardziej zdecydowany nie udzielać żadnych wyjaśnień. Miałem zamiar opowiedzieć dzieje mojej zbrodni i na tym koniec; jeżeli to komus się nie podoba, niech nie czyta. Chociaż nie wierzę w to, bo właśnie ludzie, którzy zawsze uganiają się za wyjaśnieniami, są najbardziej ciekawi, sądzę więc, że żaden z nich nie zechce stracić okazji przeczytania opowieści kryminalnej do końca.

Mógłbym zataić motywy, które mnie skłoniły do napisania tej spowiedzi. Ze zaś nie chcę uchodzić za ekscentryka, wyznam prawdę, która zresztą jest dość prosta: pomyślałem, że książkę będzie czytać wiele ludzi, gdyż teraz jestem sławny. Nie mam co prawda wielkich złudzeń co do ludzi w ogóle, jak też co do czytelników tych stron w szczególności, jednak żywię słabą nadzieję, że znajdzie się osoba, która potrafi mnie zrozumieć. Niechby się znalazła chociaż jedna.

Ktoś może zapyta: „Dlaczego tylko słaba nadzieja, jeżeli książkę będzie czytać wiele osób?” Pytanie takie uważam za jałowe. Należy je jednak przewidzieć, bo w zwyczaju ludzi jest na ogół zadawanie takich jałowych pytań, które przy najbardziej powierzchownej analizie okazują się zbyteczne. Przecież mógłbym do upadłego krzyknąć na zgromadzeniu stu tysięcy Rosjan i żaden z nich mnie nie zrozumie. Czy zdajecie sobie sprawę, co chcę przez to powiedzieć?

Istniała tylko jedna osoba, która mogłaby mnie zrozumieć. I ją właśnie zamordowałem.

III Wszyscy wiedzą, że zabiłem Marię Iribarne-Hunter. Lecz nikt nie wie, w jakich okolicznościach ją poznałem, jakie były nasze stosunki i jak się zrodziła myśl zamordowania jej. Postaram się wszystko opowiedzieć bezstronnie, bo mimo że dużo bólu mi sprawiła, nie uważam bynajmniej, bym ja był bez winy.

W Salonie Wiosennym 1946 wystawiłem obraz pt. *Macierzyństwo*. Utrzymany był on w stylu wielu moich poprzednich prac. Jak mówią krytycy w swoim nieznośnym żargonie, obraz był solidny, o dobrej architekturze; posiadał wreszcie cechy, których ci szarlatani zawsze dopatrywali się w moich płótnach, - z „czymś głęboko intelektualnym” włącznie. Na pierwszym planie przedstawiłem kobietę przyglądającą się bawiącemu się dziecku. U góry zaś, w lewym rogu, poprzez okienko widać było małą oddaloną scenkę: samotna plaża i kobieta ze wzrokiem utkwionym w morze. Była to kobieta, która jakby czegoś wyglądała i oczekiwała, może jakiegoś dalekiego wołania, które ucichło. W moim zrozumieniu scena ta miała oznaczać beznadziejną i absolutną samotność. >

Nikt na tę scenę nie zwrócił uwagi: spojrzenia przechodziły się po niej jak po czymś drugorzędnym, najprawdopodobniej czysto dekoracyjnym. Z wyjątkiem jednej jedynej osoby nikt, zdawało się, nie rozumiał, że ta scena stanowiła coś istotnego. Było to w dniu otwarcia Salonu. Jakaś nieznajoma dziewczyna stała dłuższy czas przed moim obrazem, wcale jakby nie patrząc na dużą kobietę z pierwszego planu, która przyglądała się bawiącemu się dziecku, natomiast całą uwagę skierowała na okno w rogu obrazu. Sprawiała wrażenie, jakby była odseparowana od całego świata: nie widziała i nie słyszała ludzi, którzy przechodzili lub zatrzymywali się przed moim płótnem.

Obserwowałem ją cały czas z niepokojem. Byłem w najwyższym stopniu zaintrygowany. Gdy odeszła i znikła w tłumie, uczułem w sobie coś w rodzaju rozdwojenia między nieokreślonym uczuciem strachu i pragnieniem udania się w pogoń i zawrócenia jej. Strachu przed czym? Może to było coś na kształt obawy, że będę musiał rzucić wszystko, co posiadałem w życiu, na jedną kartę. Tak więc byłem zły i nie-

szczęśliwy myśląc, że mogę nigdy już nie ujrzeć tej dziewczyny, zagubionej wśród milionów nie znanych mi mieszkańców Buenos Aires.

Wróciłem do domu zdenerwowany, niezadowolony i smutny.

Do dnia zamknięcia galerii chodziłem tam codziennie, stawałem dostatecznie blisko, by móc obserwować wszystkich, którzy przystawali przed moim obrazem. Lecz nie przyszła więcej.

Przez kilka miesięcy myślałem tylko o niej, o możliwości powtórnego zobaczenia jej. Od tej chwili w pewnym stopniu malowałem tylko dla niej. Ta mała scenka z oknem zaczęła jak gdyby rozrastać się, przesłoniła całe płótno' i całą moją twórczość.

IV Wreszcie pewnego popołudnia zobaczyłem ją na ulicy. Szła przeciwnym chodnikiem, krokiem zdecydowanym, jakby podążała ku określonemu miejscu na określoną godzinę. Poznałem ją od razu; rozpoznałbym ją z łatwością wśród tłumu innych ludzi.

Wzruszyłem się ogromnie. Tyle o niej myślałem w ciągu ostatnich miesięcy, wyobrażałem sobie tyle najprzeróżniejszych rzeczy, że gdy ją ujrzałem, nie wiedziałem, co z sobą robić.

To prawda, że przemyślałem szczegółowo swoje zachowanie na wypadek, gdybym ją spotkał. Wspomniałem już, zdaje się, że jestem bardzo nieśmiały; przemyślałem więc i przeanalizowałem ewentualne spotkanie i sposób wykorzystania go. Największą jednak trudnością w tych wyimaginowanych spotkaniach był sposób nawiązania rozmowy. Znam wielu mężczyzn, którym wszczęcie rozmowy z nieznajomą kobietą nie sprawia trudności. Przyznam się, że miałem okres, kiedy bardzo im zazdrościłem, bo chociaż nigdy nie byłem kobieciarzem, a może właśnie dlatego, że nim nie byłem, w dwóch czy trzech wypadkach żałowałem, że nie nawiązałem znajomości z kobietą: są to te nieliczne wypadki, kiedy mężczyźni zdaje się, że nie może pogodzić się z myślą, iż jakaś kobieta na zawsze będzie daleko od jego życia. Niestety, byłem skazany na pozostanie daleko od życia jakiegokolwiek kobiety.

W swoich wyimaginowanych spotkaniach analizo-

wałem przeróżne możliwości. Znam swoją naturę i wiem, że w sytuacjach nieprzewidywanych i nagłych tracę głowę pod wpływem lęku i oszołomienia. Przygotowałem więc kilka wariantów, o ile mi się zdaje, logicznych lub przynajmniej możliwych. (Nie jest logiczne, by ktoś napisał do swego bliskiego przyjaciela obraźliwy anonim, lecz wszyscy wiemy, że jest to możliwe.)

Dziewczyna, wnioskowałam, uczęszczała do salonów malarstwa. Gdybym w którymś z nich ją spotkał, stanąłbym obok niej i nie byłoby rzeczą zbyt trudną wszczać z nią rozmowę na temat któregoś z wystawionych obrazów.

Po dokładniejszym zbadaniu takiej możliwości zrezygnowałam z niej jednak. **P r z e c i e ż** ja nigdy nie chodzę do salonów malarskich. Może to dziwne, gdyż sam jestem malarzem, ale to ma swoje uzasadnienie i jestem pewien, że gdybym to publicznie wytłumaczył, wszyscy przyznaliby mi rację. Dobrze, może przesadzam mówiąc „wszyscy”. Tak, nawet na pewno przesadzam. Doświadczenie mnie nauczyło, że to, co mnie się wydaje jasne, prawie nigdy nie jest jasne dla reszty moich bliźnich. Jestem już tak zrażony, że obecnie tysiąc razy zastanawiam się i waham, zanim się zdecyduję na wyłożenie, usprawiedliwienie czy wyjaśnienie jakiegokolwiek mej czynności, co prawie zawsze kończy się na zamknięciu się w sobie i milczeniu. To właśnie było przyczyną, że po dziś dzień nie mogłem się zdecydować na opowiedzenie swej zbrodni. Nie wiem też w tej chwili, czy wskazane jest, bym tłumaczył swój stosunek do salonów malarskich. Obawiam się jednak, że jeżeli tego nie zrobię, pomyślicie, że jest to tylko czcza mania, gdy w rzeczywistości kryją się za tym racje bardzo głębokie.

I rzeczywiście przemawia za mną więcej niż jeden argument. Wyznam przede wszystkim, że z zasady gardzę wszelkiego rodzaju ugrupowaniami, sektami, związkami i w ogóle różnymi zespołami, które tworzą się z racji zawodowych, z racji wspólnych upodobań czy manii. Konglomeraty takie odznaczają się całym zespołem atrybutów groteskowych: powtarzanie się typu, wspólny żargon, zarozumiałość i przekonanie o swej wyższości nad resztą rodzaju ludzkiego.

Widzę, że problem się komplikuje, ale nie widzę sposobu uproszczenia go. Zresztą, jeżeli ktoś chce w tym miejscu przerwać czytanie mego opowiadania, może to zrobić licząc na moją całkowitą aprobatę.

Co chciałem powiedzieć przez to „powtarzanie się typu”? Zauważyliście chyba nieraz, jak przykro jest zetknąć się z kimś, kto co chwila mruga okiem lub wykrzywia usta. A czy wyobrażacie sobie wszystkich tych osobników zebranych w jednym klubie? Nie ma jednak potrzeby uciekać się do przykładów krańcowych; wystarczy obserwacja licznych rodzin, gdzie się powtarzają pewne cechy, pewne gesty, pewna intonacja głosu. Zdarzyło mi się niegdyś zakochać w jednej kobiecie (oczywiście anonimowo) i uciec od niej z przerażeniem na samą myśl, że zetknę się z jej siostrami. Coś podobnie straszego przytrafiło mi się w innym wypadku. Odkryłem w pewnej kobiecie cechy bardzo interesujące, lecz gdy poznałem jej siostrę, przygnębiło mnie to i zawstydziło na długi czas: te same cechy, które wzbudziły mój zachwyt w tamtej, u siostry okazały się zaakcentowane, zdeformowane; trochę skarykaturowane, ale nieprzesadnie; gdyby były za bardzo zmienione, to w rezultacie dałyby co innego, ale były skarykaturowane dostatecznie, by wywołać efekt komiczny. Ten rodzaj deformacji obrazu pierwszej kobiety w jej siostrze wywołał we mnie uczucie zawstydzenia, jakbym był winien temu, że siostra rzuca światło ośmieszające na kobietę przeze mnie ubóstwianą.

Może wszystko to razi mnie szczególnie jako malarza, gdyż zauważyłem, że na ogół ludzie nic sobie nie robią z tych deformacji rodzinnych. Dodać muszę, że coś podobnie odstrasającego zauważyłem u niektórych malarzy naśladowujących wielkich mistrzów. Chociażby wspomnę tych nieszczęśników, którzy malują na sposób Picassa.

Istnieje jeszcze sprawa żargonu, którego nie mogę strawić. Wystarczy choćby wziąć takie przykłady, jak: psychoanaliza, faszyzm, dziennikarstwo. Żadnego z nich nie przedkładam nad drugi, wszystkie mi są równie wstrętne. Weźmy przykład, który mi się w tej chwili nasuwa: psychoanalizę. Doktor Prato jest człowiekiem bardzo zdolnym; uważałem go za prawdziwe-

go swego przyjaciela, toteż doznałem bolesnego rozczarowania, gdy widząc, że wszyscy zaczęli mnie prześladować, i on się przyłączył do tej hołoty. Zresztą mniejsza o to. Otóż jednego dnia, ledwie wszedł do jego gabinetu, Prato powiedział mi, że musi wyjść i chce mnie zabrać ze sobą.

— Dokąd? — spytałem.

— Na cocktail do Stowarzyszenia — wyjaśnił.

— Do jakiego Stowarzyszenia? — zapytałem z ukrytą ironią, bo wprost mnie mierzi sposób, w jaki wszyscy oni używają sekciarskiej terminologii: Stowarzyszenie znaczy Stowarzyszenie Psychoanalityczne, *Siódma* znaczy *Siódma symfonia* Beethovena.

Spojrzał na mnie zdumiony, lecz ja dzielnie wytrzymałem ostrze jego wzroku.

— Do Stowarzyszenia Psychoanalitycznego, człowieku — rzekł świdrując mnie przenikliwym spojrzeniem, które freudyści uważają za niezbędne w ich zawodzie, jak gdyby się zastanawiał: „Jakiegoż to nowego fioła dostał ten typ?”

Przypomniałem sobie, że czytałem gdzieś o jakimś kongresie, któremu przewodniczył niejaki doktor Bernard czy też Bertrand. Pewny, że chodzi tu o coś innego, zapytałem, czy jest to to samo stowarzyszenie, o którym mówi. Uśmiechnął się z pogardą.

— Tamci są szarlatani — wyjaśnił. — Jedyne stowarzyszenie psychoanalityczne o uznanej międzynarodowej renomie to nasze.

Wrócił do swego gabinetu, szukał czegoś w biurku, wreszcie wydobyl i pokazał mi jakiś list pisany po angielsku. Spojrzałem przez grzeczność.

— Nie znam angielskiego — rzekłem.

— To jest list z Chicago stwierdzający, że my jesteśmy jedynym stowarzyszeniem psychoanalitycznym w Argentynie.

Zrobiłem minę pełną podziwu i głębokiego szacunku.

Potem wyszliśmy i udaliśmy się autem do owego lokalu. Było tam mnóstwo ludzi. Niektórych znałem z nazwiska, na przykład doktora Goldenberga, który niedawno bardzo się wslawił: próbował leczyć jedną kobietę i oboje ich zamknęto w domu obłąkanych. Gdyśmy przybyli, właśnie wychodził. Przyjrzałem mu się uważnie, lecz nie wydał mi się gorszy od innych;

zdawało mi się nawet, że jest spokojniejszy, może z powodu przebytej kuracji. Wychwalał moje obrazy w ten sposób, iż rozumiałem, że ich nie znosi.

Towarzystwo było tak wytworne, że zawstydził mnie mój stary garnitur i spodnie z wypchanymi kolanami. Przeżyłem straszną godzinę. Zacząłem się czuć nieswojo w otoczeniu tak wyrafinowanym i eleganckim. Gdy tylko udało mi się uciec stamtąd i wybiec na ulicę, ogarnęła mnie wściekłość i wesołość jednocześnie, gdyż znów znalazłem się wśród spraw codziennych, wśród ludzi podążających do swych zajęć, znów ujrzałem sprzedawców gazet, sklepy, policjanta. Wprost nie do wiary, że tuż nie opodał jest zbiorowisko dziwnych maniaków zajadających kanapki. Moją furię wzmogło to, że nie mogłem dociec przyczyny mego złego samopoczucia na tym zebraniu ani też zrozumieć, dlaczego całe to towarzystwo wydaje mi się tak groteskowe. W pewnym momencie wydało mi się, iż znalazłem klucz: kontrast między otoczeniem tak czystym (nawoskowana podłoga, lśniące meble, eleganckie stroje i wytworne panie) a językiem do gruntu brudnym, jakim się posługiwali z taką naturalnością. Uczucie to dosięgło szczytu, gdy pewna piękna dama, podsuwając mi tacę z kanapkami, mówiła jednocześnie do swego kolegi: „Ten sen ma znamiona symbolu fallicznego”. Chciałem gdzieś skryć się, lecz lokal był nieduży i tak zapchany psychoanalitykami oraz ich admiratorami, że nie było wolnego kąta; drugą charakterystyczną cechą sekciarstwa jest to, że potrafią mówić wyłącznie na temat swoich manii; wszędzie słyszało się to samo.

Jednak ze wszystkich konglomeratów najbardziej gardzę środowiskiem malarzy. Przede wszystkim dlatego, że środowisko to znam najlepiej, a oczywiste jest, iż z większym uzasadnieniem można pogardzać tym, co się zna dobrze. Ale mam jeszcze jeden powód: krytycy. Jest to plaga, której nigdy nie mogłem zrozumieć. Gdybym był znakomitym chirurgiem i jakiś facet, co to nigdy nie trzymał w ręku skalpela, nie jest medykiem i nigdy nie składał nogi nawet kota, przyszedł i zaczął tłumaczyć mi błędy mojej operacji, co bym pomyślał? Tak samo ma się rzecz z malarstwem. Szczególnie jednak jest to, że ludzie nie wiedzą, iż jest to samo, i mimo że śmieją się z preten-

sji krytyka chirurgicznego, słuchają z niewiarygodnym namaszczeniem tych szarlatanów. Owszem, można by z pewnym szacunkiem słuchać sądów krytyka, który sam kiedyś coś malował, bodajby płótna przeciętne. Choć nawet w tym wypadku byłby to absurd, bo czyż można zgodzić się, by jakiś malarz przeciętny pouczał dobrego?

V Odszedłem jednak od tematu. A winien wszystkim ten przeklęty nałóg usprawiedliwiania każdej mej czynności. Po kiego diabła mam się tłumaczyć, dlaczego nie chodzę do salonów malarstwa? Przecież każdy ma* prawo chodzić lub nie, jeśli mu się tak podoba, i niepotrzebne tu żadne świadectwo usprawiedliwiające. Dokąd by nas zaprowadziła podobna mania? Zresztą już i tak za późno, chociaż na temat wystaw dużo jeszcze mam do powiedzenia: niedorzeczna krytyka kolegów, ślepotą publiczności, tępotą organizatorów objawiająca się w niewłaściwym przygotowaniu salonu i rozmieszczeniu obrazów. Na szczęście (a może niestety) wszystko to mnie już nie interesuje; w przeciwnym razie musiałbym chyba napisać całą rozprawę na temat: *W jaki sposób malarz powinien bronić się przed miłośnikami sztuki.*

Tak więc musiałem przekreślić możliwość spotkania jej na jakiejś wystawie.

Natomiast nie było rzeczą nieprawdopodobną, że ona ma jakiegoś przyjaciela lub znajomego, który jednocześnie jest moim przyjacielem. W tym wypadku wystarczyłoby zwykłe przedstawienie się. Z natury nieśmiały, z rozkoszą rzuciłem się w objęcia takiej możliwości. Zwyczajne przedstawienie się! Jakże to wszystko stało się proste, jakie przyjemne! Zaślepienie nie pozwoliło mi dojrzeć niedorzeczności czegoś podobnego. Nie pomyślałem, że znaleźć jej znajomego było nie mniej trudno jak odnaleźć ją samą. Nie sposób było spotkać takiego znajomego, gdy się nie wiedziało, kim była ona. A gdybym wiedział, kim była ona, po co miałbym uciekać się do pomocy osoby trzeciej? Owszem, przedstawienie się ma swoje dodatnie strony, temu nie przeczę. W zasadzie jednak problemem głównym jest ją odnaleźć i dopiero p o-

te m szukać wspólnego znajomego, żeby nas sobie przedstawił.

Pozostawała jeszcze droga prostsza: rozejrzeć się, czy któryś z moich kolegów nie jest przypadkiem jej kolegą. To można by zrobić przed jej odnalezieniem, dość, bym zapytał każdego z moich znajomych, czy nie zna przypadkiem dziewczyny o takim to mniej więcej wzroście, takich a takich włosach. Jednak wszystko to zakrawało na coś mało poważnego, więc odrzuciłem i tę drogę. Zarumieniłem się na samą myśl, że mógłbym o coś podobnego pytać takich ludzi, jak Mapelli lub Lartigue.

Uważam tu za stosowne zaznaczyć, że powyższego wariantu nie odrzuciłem jako całkowicie pozbawionego sensu; zrobiłem to wyłącznie z powodów, jakie przed chwilą wyłożyłem. Ktoś może naprawdę pomyśleć, że niedorzecznością jest wyobrazić sobie, aby któryś z moich znajomych okazał się równocześnie jej znajomym. Tak myśleć może jedynie człowiek powierzchowny, nie zaś nawykły do roztrząsania problemów ludzkich. Istnieją w społeczeństwie warstwy poziome, składające się z osób o podobnych gustach, i wśród takich osób spotkania przypadkowe (?) nie są rzadkością, szczególnie jeśli przyczyną tworzenia warstw jest jakaś cecha wyjątkowa. Spotkałem kiedyś jedną osobę w pewnej dzielnicy Berlina, następnie widziałem ją w małej zapadłej miejscowości włoskiej i wreszcie spotkaliśmy się w księgarni w Buenos Aires. Czyż można uważać za przypadkowe wszystkie te powtarzające się spotkania? Ale mówię tu rzeczy banalne, o których wie każdy miłośnik muzyki, esperanta czy spirytyzmu.

Trzeba więc było nastawić się na możliwość o wiele bardziej ryzykowną: spotkanie na ulicy. Jak to, do diaska, robią niektórzy mężczyźni zatrzymując kobietę, by nawiązać z nią rozmowę, a nawet miłosną przygodę?! Odrzuciłem wszelką kombinację, która by się zaczynała z mojej inicjatywy: nieznajomość tej techniki ulicznej i mój wygląd zmusiły mnie do powzięcia "tej melancholijnej i ostatecznej decyzji."

Nie pozostawało nic innego, jak oczekiwać szczęśliwego przypadku, jaki się zdarza raz na milion: żeby ona przemówiła pierwsza. Tak więc moje szczęście 'zostało zdane na łaskę loterii dwustopniowej, w której

trzeba raz wygrać, by zdobyć prawo do następnego ciągnięcia, a naprawdę wygrać można jedynie w tym drugim dniu gry. Musiałem stawiać na możliwość spotkania jej na ulicy, a następnie, co było jeszcze mniej prawdopodobne, by ona pierwsza do mnie przemówiła. Odczuwałem coś w rodzaju zawrotu głowy, byłem smutny i zrozpaczony. A jednak nie ustawałem w przygotowywaniu swej pozycji.

Wyobrażałem więc sobie, że ona się do mnie zwraca, zapytując na przykład o kierunek autobusu, i wychodząc z tego pierwszego zdania zbudowałem w ciągu całego miesiąca rozmyślań, nastrojów melancholii, wściekłości i nadziei nie kończącej się grą wariantów. Raz byłem wylewny, rozmowny (w rzeczywistości taki nigdy nie byłem), innym razem mrukliwy, zamknięty w sobie, to znów — na odmianę — pogodny. Czasami na jej pytania odpowiadałem więcej niż szorstko, z hamowaną wściekłością. Raz nawet podczas jednego z tych wyimaginowanych spotkań wszystko spaliło na panewce wskutek mej absurdalnej irytacji, gdyż gniewałem się na nią za to pierwsze pytanie, które uznałem za bezsensowne i głupie. Wszystkie te nieudane spotkania nappełniły mnie gorczyzą i kilka dni z rzędu robiłem sobie wyrzuty z powodu utraty tak pięknej okazji do nawiązania z nią kontaktu. Na szczęście skończyło się to zdaniem sobie sprawy, że wszystko było jedynie tworem mojej wyobraźni i że realna możliwość nie znikła. Wówczas wróciłem do moich ćwiczeń ze zdwojonym entuzjazmem, tworząc nowe i bardziej owocne dialogi uliczne. Największą trudność miałem z powiązaniem jej pytania z czymś tak ogólnym i oddalonym od spraw codziennych, jak istota sztuki lub, co najmniej, wrażenie, jakie na niej wywarło moje okienko. Oczywiście, gdy się ma czas i spokój, zawsze można wybrnąć z takiej sytuacji i bez zgrzytów nawiązać upragniony kontakt. Jak najbardziej do pomyślenia byłoby to na przykład na jakimś przyjęciu towarzyskim, gdzie nie jest trudno powiązać ze sobą tematy od siebie oddalone, lecz w zgiełku ulicznym, jaki zawsze panuje w Buenos Aires, wśród ludzi stadami pędzących do autobusów, tramwajów i metro, tego rodzaju rozmowa byłaby nie do -pomyślenia. Nie miałem jednak odwagi całkiem takiej możliwości nie przyjąć, gdyż 16

oznaczałoby to zniszczenie nacmei na szczęście. Wracalem więc znów do tworzenia dialogów, możliwie krótkich i skutecznych, zaczynających się od pytania: „Gdzie jest Poczta Główna?“, a kończących się dyskusją o pewnych problemach ekspresjonizmu czy też nadrealizmu. Nie było to wcale łatwe.

Podczas jednej z bezsennych nocy doszedłem jednak do wniosku, że wyżej wspomniana próba nawiązania takiej rozmowy byłaby bezsensowna i sztuczna, że trzeba raczej zaatakować pozycje centralne jakimś śmiałym i zdecydowanym pytaniem, stawiając wszystko na jedną kartę. Na przykład zapytać: „Dlaczego pani przyglądała się wyłącznie okienku?“ Zazwyczaj podczas bezsennych nocy bywałem bardziej zdecydowany teoretycznie niż za dnia w czynach. Nazajutrz, chłodno analizując tę możliwość, stwierdziłem, że nigdy nie zdobędę się na postawienie takiego pytania bez zająknięcia się. Jak zwykle, tak i tym razem zwątpienie pchnęło mnie ku drugiej krańcowości: ubzdurałem sobie pytanie tak oddalone, że aby dojść do punktu, o który mi chodziło (okienko), trzeba byłoby bliżej i bliżej przyjaźni: „Czy interesuje panią sztuka?“

Nie przypominam sobie obecnie wszystkich przemyślanych wariantów. Pamiętam tylko, iż niektóre były tak skomplikowane, że praktycznie bezużyteczne. Zbieg okoliczności naprawdę byłby dziwny, gdyby potem rzeczywistość odpowiadała kluczowi tak skomplikowanemu, sporządzonemu bez znajomości typu i tajników zamka. Na domiar, gdy sprawdzałem wszystkie możliwe warianty, zapominałem o porządku pytań i odpowiedzi lub je mieszałem, jak to się zdarza szachiście, gdy z góry układa sobie w myśli partię. Często zamieniałem zdania z jednego wariantu ze zdaniem z drugiego, osiągając efekty wprost śmieszne lub deprymujące. Na przykład zatrzymuję ją, by podać jakiś adres, i natychmiast pytam: „Czy bardzo pani interesuje się sztuką?“ Istna groteska! Gdy dochodziłem do tego, odpoczywałem kilka dni, nie układałem i nie tasowałem kombinacji.

yi Gdy ujrzałem ją idącą przeciwległym chodnikiem, wszystkie warianty runęły i pomieszały mi się w głowie. Czuję, jak z mej świadomości wylaniały się całe zdania, opracowane i wyuczone podczas długich i zmuśnych ćwiczeń przygotowawczych: „Czy bardzo panią interesuje sztuka?“, „Dlaczego przyglądała się pani tylko okienku?“, i tak dalej. Z większą natarczywością niż kiedykolwiek wyłoniło się zdanie, które już odrzuciłem jako idiotyczne, a które w tej chwili napawa mnie wstydem i przyprawia o jeszcze śmieszniej sze samopoczucie: „Czy podoba się pani Castel?“

Luźne i pomieszane ze sobą zdania formowały się w zgiełkliwą i ruchomą łamigłówkę, aż wreszcie zrozumiałem, że niepotrzebnie tak się przejmuję; przypomniałem sobie, że to przecież ona ma być inicjatorką wszelkiej ewentualnej konwersacji. I od tej chwili poczułem w sobie jakiś głupi spokój. Nawet, zdaje mi się, pomyślałem nie mniej głupio: „Ano zobaczymy, jak ona się z tego wywiąże“.

Tymczasem zaś — niezależnie od wszystkich rozważań — czułem się tak zdenerwowany i wzruszony, że nie potrafiłem zdobyć się na nic innego, jak tylko na śledzenie jej, idącej przeciwległym chodnikiem, nie zastanawiając się wcale nad tym, że chociażby po to, by zapytać mnie o jakiś adres, musiałaby przejść jezdnię i zbliżyć się do mnie. Nic przecież bardziej groteskowego nad oczekiwanie, by ona zapytała o adres wołając z drugiej strony ulicy.

Co robić? Jak długo będzie trwała ta sytuacja? Byłem bezgranicznie nieszczęśliwy. Tak minęliśmy wiele domów. Szła wciąż dalej krokiem zdecydowanym.

Byłem przygnębiony, ale musiałem iść za nią. Niemożliwe przecież, bym po kilkumiesięcznym oczekiwaniu miał się wyrzec tak pięknej okazji. Szedłem bardzo szybko, podczas gdy moje myśli wahały się i to wytworzyło we mnie szczególne uczucie: moja myśl stała się jak gdyby robakiem ślepym i drętym wewnątrz wehikułu pędzącego z zawrotną szybkością.

Dziewczyna skręciła w ulicę San Martin, po kilku krokach zwolniła i weszła do gmachu Spółki T. Zdecydowałem się szybko i wszedłem za nią, mimo że czułem, iż jest to monstrualna niedorzeczność.

Czekała na winę. Byliśmy sami. Ktoś śmielszy ode mnie przemówił moimi ustami i skierował się do niej z niewiarygodnie głupim pytaniem:

— Czy to jest gmach Spółki T.?

Szyld kilkumetrowej długości, obejmujący cały front gmachu, opiewał, iż rzeczywiście jest to gmach Spółki T.

Ona jednak najzwyczajniej w świecie odwróciła się ku mnie i odpowiedziała potakująco. (Później, zastanawiając się nad swoim pytaniem i nad jej zwyczajną, spokojną odpowiedzią, doszedłem do wniosku, że ostatecznie często się zdarza, iż nie zauważamy zbyt dużych szyldów; a więc i pytanie moje nie było może tak bezapelacyjnie niemądre, jak mi się zdawało w pierwszej chwili).

Gdy mnie ujrzała, bardzo się zaczerwieniła, z czego wywnioskowałem, że poznała mnie. Był to wariant, o jakim jeszcze nie pomyślałem, chociaż właściwie było to bardzo logiczne, gdyż moje zdjęcia często reprodukowano w różnych pismach i dziennikach.

Wzruszyłem się tak dalece, że skierowałem do niej następne niefortunne pytanie:

— Dlaczego pani się czerwieni?

Zaczerwieniła się jeszcze wyraźniej i już jakby chciała coś odpowiedzieć, gdy ja, straciwszy niemal do reszty kontrolę nad sobą, wybuchnąłem:

— Pani się czerwieni, bo mnie poznała! Pani się oczywiście zdaje, że to przypadek. Otóż to nie przypadek, przypadki nie istnieją. Myślałem o pani w ciągu tych długich miesięcy. Dzisiaj spotkałem panią i szedłem za nią. Chcę panią zapytać o coś bardzo ważnego, coś w związku z okienkiem, rozumie pani?

Stała przede mną przestraszona.

— Z okienkiem? — wymamrotała. — Jakim okienkiem?

Czułem, jak nogi uginają się pode mną. Czyżby nie pamiętała? A więc nie przywiązywała do tego najmniejszej wagi. Patrzyła powodowana wyłącznie zwykłą ciekawością. Zrobiło *mi* się głupio i nagle pomyślałem, że wszystko, co ubzdurałem sobie i robiłem w ciągu tych miesięcy (z obecną sceną włącznie), było szczytem dysproporcji i śmieszności, jedną z tych moich dziwacznych, zrozumiiałych budowli podobnych

do rekonstrukcji dinozaura dokonanej na podstawie złamanego żebra.

Dziewczyna była bliska płaczu. Czuję, jak ziemia się pode mną zapada, a ja jestem bezbronny i bezradny. Powiedziałem jeszcze coś, co przytaczam obecnie z uczuciem zażenowania:

— Widzę, że się pomyliłem. Żegnam!

Pospiesznie wyszedłem i rzuciłem się, prawie biegiem, w jakimś kierunku. Uszedłem może ze sto metrów, gdy naraz doleciał mnie głos:

— Proszę pana, proszę pana!...

To była ona, szła za mną nie ośmielając się mnie zatrzymać. Nie wiedziała, jak usprawiedliwić to, co się stało. Wreszcie rzekła cicho:

— Niech mi pan wybaczy... Niech mi pan wybaczy moją głupotę... Tak się przestraszyłam...

Jeszcze przed chwilą świat był dla mnie jednym wielkim chaosem przedmiotów i tworów bezużytecznych. Teraz zaś zobaczyłem, że wszystko wraca na swoje miejsce, znów jest porządek i spokój. Słuchałem i ej w milczeniu.

— Nie zrozumiałam, że chodziło panu o tę scenę z obrazu ■— dodała drżącym głosem.

Nie zdając sobie z tego sprawy, ująłem ją pod ramię.

— A więc jednak pamięta ją pani?

Przez chwilę milczała, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Wreszcie rzekła powoli:

— Wciąż o niej myślę.

Teraz stało się coś nieoczekiwanego: jakby żałując tego, co powiedziała, wyrwała mi się, odwróciła i zaczęła prawie biec. Zdziwiony, biegłem za nią, aż pojąłem, że to jest co najmniej niewłaściwe i nie-mądre. Obejrzałem się dokoła i szedłem dalej krokiem szybkim, lecz normalnym. Zrobiłem to z dwóch powodów: po pierwsze niepoważnie to wyglądało, by na ulicy bądź co bądź znany człowiek biegł za dziewczyną, po wtóre zaś nie było wcale konieczne. To drugie było bodaj najważniejsze: przecież mogłem zawsze ją zobaczyć wchodzącą do biura lub wychodzącą. Po cóż więc mam biec jak zwariowany? Ważne, najważniejsze jest to, że pamięta scenę z okienkiem, powiedziała przecież: „Wciąż o niej myślę”. Byłem zadowolony, poczułem się zdolny do dokonania wiel-

kich rzeczy i tylko robiłem sobie wyrzuty z powodu chwilowej utraty kontroli nad sobą przy windzie, no i teraz, powtórnie, gdy biegłem jak wariat za nią, podczas gdy mogłem przecież w każdej chwili odnaleźć ją w biurze.

VII »W biurze?" — zapytałem nagle sam siebie na głos, prawie krzyżąc, i poczułem, że nogi pod mną znów się uginają. A któż mnie zapewnił, że ona pracuje w tym biurze? Czyż do biura wchodzi jedynie ci, co tam pracują? Obawa, że znów mogę ją utracić na przeciąg kilku miesięcy, a może i na zawsze, przyprawiła mnie o zawrót głowy, więc nie zważając na konwenanse znów jąłem biec po desperacku, aż znalazłem się u wejścia do gmachu Spółki T., jej jednak nigdzie nie było widać. Czyżby już odjechała windą? Chciałem zapytać windziarza, ale nie wiedziałem, jak. W tym czasie mogło skorzystać z windy wiele kobiet, musiałbym więc podać mu szczegóły, łącznie z rysopisem. Co sobie windziarz pomyśli? Szedłem jeszcze chwilę chodnikiem, niezdecydowany. Potem przeciąłem jezdnię i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Badałem front gmachu nie wiedząc po co. Może z nikłą nadzieją ujrzenia jej w oknie. Oczywiście, to było absurdalne łudzić się, że ona może ukaże się w oknie i da mi jakiś znak czy coś w tym rodzaju. Widziałem tylko olbrzymi szyld z napisem:

SPÓŁKA T.

Na oko osądziłem, że ma co najmniej dwadzieścia metrów długości, i ta kalkulacja podwoiła moje złe samopoczucie. Lecz teraz nie miałem czasu poddawać się podobnemu nastrojowi: „Będę siebie torturował później, gdy się uspokoje”. Nie widziałem innej rady, jak tylko wejść. Energicznie wszedłem więc i czekałem, aż winda zjedzie na dół. W miarę jednak, jak winda zjeżdżała, moja stanowczość malała, nieśmiałość zaś i brak zdecydowania zawrotnie rosły. Gdy otworzyły się drzwi windy, byłem jak najbardziej zdecydowany, co mam robić: nie odezwę się do nikogo ani słowem. W takim wypadku po cóż 21

jednak brać windę? Ale znów jak tego nie zrobić, gdy się już tyle czekało w towarzystwie wielu osób? Jak zostałby przyjęty taki postępek? Nie było innej rady, tylko wsiąść do windy z postanowieniem nieodzywania się do nikogo: rzecz poniekąd zrozumiała i naturalna, bo przecież nikt nie jest obowiązany rozmawiać wewnątrz windy, chyba że się jest przyjacielem windziarza; w tym wypadku można go zapytać o pogodę lub zdrowie chorego dziecka. Ze zaś go wcale nie znałem i nigdy go nie widziałem na oczy, moje postanowienie milczenia nie mogło wywołać najmniejszego zdziwienia. Fakt, że znajdowałem się wśród wielu osób, ułatwiał mi zrealizowanie tego zamysłu, gdyż byłem niezauważalny.

Spokojnie więc wszedłem do windy i wszystko potoczyło się przewidzianym trybem, bez żadnych trudności. Ktoś komentował z windziarzem wilgotny upał i komentarz ten zwiększył moje dobre samopoczucie, gdyż potwierdził mój sposób myślenia. Byłem nieco zdenerwowany, gdy powiedziałem „ósmę”, ale to mógł spostrzec jedynie ktoś, kto by wiedział, jakie są moje zamiary.

Na ósmym piętrze wraz ze mną wyszła z windy jeszcze jedna osoba, co sytuację nieco skomplikowało. Idąc powoli wyczekiwałem, aby ten drugi wszedł do któregoś z pokoi, sam zaś szedłem dalej korytarzem. Gdy jegomość znikł, odetchnąłem z ulgą. Przemierzyłem korytarz kilka razy, doszedłem do końca, przez jedno ze znajdujących się tam okien obejrzałem panoramę Buenos Aires, wróciłem i nacisnąłem guzik od windy. Wkrótce byłem już u wyjścia z gmachu, przy czym nic przykrego w całej tej wyprawie mnie nie spotkało (na przykład dziwne pytania windziarza czy coś w tym rodzaju). Zapaliłem papierosa i jeszcze nie zdążyłem go dobrze zapalić, gdy uświadomiłem sobie, że spokój mój był co najmniej absurdalny: prawdą było, że nie stało się nic przykrego, ale prawdą również było, że w ogóle n i c się nie stało. Innymi słowy: dziewczynę zgubiłem, chyba że pracuje stale w którymś z tych biur. Jeżeli zaś weszła tutaj jedynie dla załatwienia jakiejś sprawy, mogła przez ten czas wejść i zejść, mijając się ze mną. „Chociaż — pomyślałem — jeśli tu weszła tylko dla załatwienia jakiejś sprawy, może w tak krótkim czasie nie zdążyła 22

tego zrobić". To mnie nieco uspokoiło, postanowiłem więc czekać u wejścia do gmachu.

Tak minęła godzina. Analizowałem przeróżne możliwości, jakie mogły zaistnieć:

1. Sprawa była poważna, wymagająca dłuższego czasu. W tym wypadku należało jeszcze poczekać.

2. Możliwe, że po tym, co zaszło, była zbyt podniecona i postanowiła przespacerować się, by ochłodzić przed wejściem do biura dla załatwienia swojej sprawy. Również i w tym wypadku należało czekać.

3. Pracowała tutaj. Należy więc czekać aż do godziny wyjścia z pracy.

„A zatem czekając do tej godziny — rozmyślałem — będę w porządku wobec wszystkich trzech możliwości”.

Ta żelazna logika natchnęła mnie jeszcze większym spokojem, postanowiłem więc wytrwale czekać w narożnej kawiarni, skąd mogłem obserwować wszystkich wychodzących. Poprosiłem o piwo i spojrzałem na zegarek: było kwadrans po trzeciej.

W miarę jak upływał czas, coraz bardziej umacniałem się przy ostatniej hipotezie: pracowała tam. O szóstej wstałem od stolika, gdyż pomyślałem, że właściwiej będzie czekać u drzwi gmachu: jeżeli wyjdzie dużo ludzi naraz, mogę jej nie zauważyć z okna kawiarni.

O szóstej z minutami urzędnicy zaczęli wychodzić. O szóstej trzydzieści opuścili już gmach prawie wszyscy, na co wskazywało wyraźne przeredzenie się wychodzących. Kwadrans przed siódmą nie wychodził już prawie nikt, tylko od czasu do czasu jakiś wyższy urzędnik; chyba że ona była jakimś wyższym urzędnikiem? „Absurd”. A może sekretarką jakiegoś wyższego urzędnika? „To już bardziej prawdopodobne” — pomyślałem z odrobiną słabej nadziei.

O siódmej wszystko się skończyło.

VIII Gdy bardzo przygnębiony wracałem do domu, usiłowałem zdobyć się na jasne myślenie. Mój mózg jest jak wrzący kocioł i gdy się zdenerwuję, myśli zaczynają tańczyć niby w jakimś zawrotnym balecie. Nie zważając na to, a może właśnie dlatego, 23

przyzwyczailem się panować nad nimi i układać je w pewnym ordynku, w przeciwnym razie byłbym już dawno postradał zmysły.

Jak już wspomniałem, wróciłem do domu głęboko zdeprymowany, jednak starałem się uporządkować myśli, potrzebna mi była jasność i świadomość, jeżeli nie chciałem na zawsze utracić jedynej osoby, która tak dobrze rozumiała moje malarstwo.

Jedno z dwojga: albo ona w tym biurze miała coś do załatwienia, albo tam pracuje. Inna możliwość nie istniała. Druga hipoteza wydała mi się bardziej sprzyjająca. Jeśli tak, to na pewno po rozstaniu się ze mną czuła się rozstrojona i po prostu wróciła do domu. Należałoby więc czekać drugiego dnia przy wejściu.

Następnie przeanalizowałem pierwszą możliwość: sprawa. Mogło się stać tak, że nie czując się dobrze odłożyła załatwienie swej sprawy na następny dzień i wróciła do domu. Również w tym wypadku należałoby nazajutrz czekać na nią przy wejściu.

Obie powyższe możliwości były sprzyjające. Istniała jednak trzecia, i ta była straszna: sprawę załatwiła, zanim doszedłem do biura lub podczas mojej przejażdżki windą tam i z powrotem. To znaczy minęliśmy się i dlatego jej nie zobaczyłem. Czasu na to, oczywiście, było bardzo mało, więc też mało było prawdopodobne, by tak właśnie miało się stać, a jednak to było możliwe: cała jej „sprawa” mogła polegać po prostu na doręczeniu jakiegoś listu czy dokumentu. W tym wypadku wszelkie wyczekiwanie byłoby bezsensowne.

Były jednak dwie możliwości sprzyjające, więc po desperacku uczepiłem się ich.

Wróciłem do domu z brzemieniem mieszanych uczuć. Za każdym razem gdy myślałem o tym, co powiedziała („wciąż o niej myślę”), serce biło mi gwałtownie i czułem, jak przede mną otwiera się ciemna, lecz szeroka i potężna perspektywa: jakaś dotychczas drzemiąca wielka siła budziła się i rozrastała we mnie. Z drugiej strony, nasuwały się wątpliwości. Może upłynąć dużo czasu, zanim ją znowu spotkam. A przecież ja muszę ją odnaleźć. Przyłapałem siebie na kilkakrotnym głośnym powtórzeniu: „To jest konieczne, to jest konieczne...”

IX Następnego dnia z samego rana stałem przed wejściem do biur Spółki T. Wszyscy już weszli, jej natomiast wśród nich nie było: jasne więc, że tu nie pracowała, chociaż pozostawało jeszcze sła- biutkie przypuszczenie, że może zachorowała i w ciągu kilku najbliższych dni nie przyjdzie do pracy.

Oprócz tego istniała jeszcze możliwość „sprawy”, postanowiłem więc czekać całe przedpołudnie w na- różnej kawiarni.

Traciłem już wszelką nadzieję (zbliżała się jede- nasta trzydzieści), kiedy zobaczyłem ją wychodzącą z gardzieli metra. Pod wrażeniem jej widoku zerwa- łem się jednym susem i wybiegłem jej na spotkanie. Gdy mnie ujrzała, stanęła jak skamieniała; wyraźnie widziałem, że nie spodziewała się tego. Myśl moja pracowała z żelazną ścisłością i to mi dodało energii, czułem w sobie siłę, byłem o władnięty męskim posta- nowieniem i zdecydowany na wszystko do tego stop- nia, że prawie brutalnie ująłem ją pod ramię i bez słowa poprowadziłem ulicą San Martin w kierunku placu. Zdawała się pozbawiona woli, nie wyrzekła ani słowa. Dopiero gdy przeszliśmy tak wzdłuż kilku blo- ków, zapytała:

— Dokąd mnie pan prowadzi?

— Na plac San Martin. Mam pani dużo do po- wiedzenia — odrzekłem i zdecydowanie szedłem da- lej, wciąż trzymając jej ramię.

Szepnęła coś o biurach Spółki T., lecz ja wciąż szedłem prowadząc ją dalej i nie słyszałem nic z tego, co mi usiłowała powiedzieć.

Powtórzyłem:

— Mam pani dużo do powiedzenia.

Nie stawiała oporu. Ja zaś czułem się jak wzbu- rzona rzeka wlokąca porwaną z brzegu gałąź. Doszli- śmy do placu, poszukałem odosobnionej ławki.

— Dlaczego pani uciekła? ■—■ było moim pierw- szym pytaniem.

Spojrzała na mnie zupełnie tak jak poprzedniego dnia, gdy powiedziała: „Wciąż o niej myślę”; było to spojrzenie dziwne, uparte, przenikliwe. To spojrzenie coś mi przypominało, jakies podobne oczy, lecz nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie je widziałem.

— Nie wiem — odrzekła wreszcie. — W tej chwili również chciałabym uciec.

Ścisnąłem mocniej jej ramię.

— Proszę mi przyrzec, że to się nigdy nie powtórzy. Pani mi jest bardzo, bardzo potrzebna — powiedziałem.

Znów spojrzała na mnie badawczo, lecz milczała. Potem utkwiała wzrok w jakimś oddalonym drzewie.

Z profilu nie przypominała mi nikogo. Twarz miała śliczną, lecz było w niej coś twardego. Włosy długie, kasztanowate. Osądziłem, że z wyglądu może mieć niewiele ponad dwadzieścia sześć lat, widać jednak było, że ma za sobą dużo przeżyć. Nie siwe włosy czy coś wyłącznie materialnego wskazywało na to, lecz coś nieokreślonego, duchowego. Może wzrok? Ale jak dalece można twierdzić, że wzrok człowieka jest czymś fizycznym? Może-sposób zaciskania ust? Choć mimo że usta i wargi są elementami fizycznymi, to sposób ich zaciskania i pewne zmarszczki są również elementami duchowymi. Nie mogłem uzmysłowić sobie wówczas, jak nie potrafię tego zrobić i teraz, z czego odgadłem jej wiek. Myślę, że również nie ze sposobu mówienia.

— Pani mi jest bardzo potrzebna — powtórzyłem. Nie odpowiedziała, tylko w dalszym ciągu przyglądała się drzewu.

— Dlaczego pani milczy? — zapytałem.

Wciąż patrząc na drzewo odrzekła:

— Ja jestem niczym. Pan jest wielkim artystą. Nie wiem, na co mogłabym być panu potrzebna.

Zawołałem gwałtownie:

— Mówię, że potrzebuję pani! Pani mnie rozumie?!

Nie odrywając wzroku od drzewa, szepnęła jakby do siebie:

— Na co?

Nie od razu odpowiedziałem. Zwolniłem jej ramię z uścisku i zamyśliłem się. Rzeczywiście, na co? Do tej chwili nie zastanawiałem się nad tym, raczej kierowałem się instynktem. Podniosłem z ziemi gałązkę i zacząłem rysować jakieś figury geometryczne.

— Nie wiem — wymamrotałem po chwili. — Jeszcze nie wiem.

Usilnie wyteżałem umysł i coraz bardziej komplikowałem rysunki.

— Moja głowa jest jak ciemny labirynt. Czasami powstają w niej błyski, które oświetlają niektóre ko-

rytarze. Nigdy jednak nie mogę dociec, dlaczego robię pewne rzeczy. Nie, to nie jest to...

Poczułem się dość głupio: w żadnym wypadku nie był to mój sposób zachowania. Zrobiłem wielki wysiłek umysłowy: czyżbym nie myślał? Ależ odwrotnie, myśl moja była w ustawicznym napięciu, jak maszyna do liczenia. Weźmy całą tę historię. W ciągu ostatnich miesięcy czyż nie rozpamiętywałem, nie tasowałem i nie klasyfikowałem różnych hipotez? I czyż dzięki swym zdolnościom logicznego rozumowania nie odnalazłem wreszcie Marii? Odczułem bliskość prawdy i strach jej zgubienia. Myśl moja pracowała intensywnie. Zawołałem:

— Nie to, że nie potrafię rozumować! Przeciwnie, zawsze rozumuję logicznie. Ale proszę sobie wyobrazić kapitana statku, który co chwila sprawdza i ustala swoją pozycję i dąży do celu z całą niewzruszonością. Nie wie jednak, dlaczego dąży do tego celu. Rozumie pani?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem i znów zwróciła wzrok na drzewo.

— Czuję, że będzie pani czymś zasadniczym w tym, co będę robił, chociaż jeszcze dokładnie nie zdaję sobie sprawy, dlaczego.

Znowu zacząłem rysować gałązką i myślałem intensywnie. Po chwili dodałem:

— Wiem tylko, że pozostaje to w związku ze sceną w okienku: pani była jedyną osobą, która zwróciła na nią uwagę.

— Nie jestem krytykiem sztuki — wyszeptała.

Rozzłościłem się i krzyknąłem:

— Proszę nie mówić mi o tych kretytach! Odwróciła się zdumiona. Opanowałem się i wytłumaczyłem jej, dlaczego nie ufam krytykom: przykład z chirurgiem itd.

Wysłuchiwała moich słów nie patrząc mi w twarz, a gdy skończyłem, rzekła:

— Pan się skarży, a przecież krytycy zawsze wysoko oceniali pana twórczość.

Byłem dotknięty.

— Tym gorzej dla mnie. Nie rozumie pani? Właśnie to mnie zawsze napawało goryczą, bo jest wskaźnikiem, że idę niewłaściwą drogą. Proszę, co zaszło chociażby w ostatnim Salonie: żaden z owych szarla-

tanów nie zdał sobie sprawy z ważności tej sceny, tylko pani. I pani nie jest krytykiem... Owszem, jest jeszcze jedna osoba, która zwróciła na tę scenę uwagę, lecz oceniła ją ujemnie: zrobiła mi z tego powodu zarzut, czuje do tej sceny niechęć, prawie brzydzi się nią. Pani natomiast...

Wciąż patrząc przed siebie, powoli powiedziała:

— A nie przypuszcza pan, że ja również mogłabym mieć takie samo zdanie?

— Jakie?

— Takie jak owa osoba.

Spojrzałem na nią z niepokojem. Jej twarz widziana z profilu była nieprzenikniona, szczęki miała ściśnięte.

— Pani myśli tak jak ja — odpowiedziałem twardo.

— A co pan myśli?

— Nie wiem, również na to pytanie nie potrafiłbym odpowiedzieć. Raczej mógłbym twierdzić, że pani c z u j e tak jak ja. Pani oglądała tamtą scenę tak, jak ja bym ją oglądał będąc na pani miejscu. Nie wiem, co pani myśli, jak również nie wiem, co ja myślę, wiem natomiast, że pani myśli tak jak ja.

— Więc pan nie przemyśla swoich obrazów?

— Kiedyś przemyślałem. Budowałem je tak, jak się buduje dom. Ale tej sceny nie; czułem, że muszę ją tak właśnie namalować, nie wiedząc, dlaczego. I w dalszym ciągu tego nie wiem. Właściwie nie ma ona nic wspólnego z resztą obrazu; zdaje mi się, że jeden z tych idiotów w swej ocenie to zaznaczył. Idę po omacku i potrzebna mi jest pani pomoc, bo wiem, że pani czuje tak jak ja.

— Nie wiem właściwie, co ma pan na myśli. Zaczynałem się niecierpliwić. Odpowiedziałem sucho:

— Mówię pani przecież, że nie wiem, co myślę. Gdybym potrafił prostymi słowami wyrazić to, co czuję, czyż nie oznaczałoby to, że jasno myślę? Nieprawdaż?

— Tak, to prawda.

Milczałem chwilę, usiłując ująć problem. Potem dodałem:

— Można by powiedzieć, że cała moja twórczość poprzednia była bardziej powierzchowna.

— Jaka twórczość poprzednia?

— Poprzedzająca ten obraz z okienkiem.

Znów się skupiłem i po chwili rzekłem:

— Nie, to nie jest ściśle, co mówię, to nie to. Nie żeby była bardziej powierzchowna...

Jaka więc była w rzeczywistości? Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym problemem. Teraz zdałem sobie sprawę, do jakiego stopnia malowałem tę scenę z okienkiem nieświadomie, jak somnambulik.

— Nie żeby była bardziej powierzchowna — potwórzyłem mówiąc jakby do siebie. — Nie wiem, jaki to wszystko ma związek z ludzkością w ogóle, rozumie pani? Przypominam sobie, że w przeddzień namalowania tej sceny czytałem w prasie, że w jakimś obozie koncentracyjnym pewien więzień poprosił oprawców o jedzenie, wówczas zmuszono go do zjedzenia żywego szczura. Często dochodzę do wniosku, że wszystko na tym świecie jest bezsensowne. Na mikroskopijnej planecie, która od milionów lat pędzi w nicość, rodzimy się w bólu, rośniemy, walczymy, chorujemy, cierpimy, zadajemy cierpienia, krzyczymy, umieramy. Rodzą się inni, by zacząć bezużyteczną komedię od nowa.

Czy tak było rzeczywiście? Zacząłem zastanawiać się nad bezsensem wszystkiego. Czyżby całe nasze życie było jedynie serią anonimowych krzyków w obliczu pustki i obojętności gwiazd?

Ona wciąż milczała.

— Ta scena na plaży przeraża mnie ■—• dodałem po dłuższej chwili — chociaż wiem, że jest w niej coś głębszego. Nie, raczej chcę powiedzieć, że ona w sposób bardziej głęboki reprezentuje m n i e... Tak jest, tym razem, zdaje się, że powiedziałem dobrze. Nie jest to jeszcze wyraz jasny, ale w tej scenie wypowiedziałem najgłębiej siebie.

Powiedziała:

— Może wyraz rozpaczy?

Spojrzałem na nią z niepokojem.

— Tak — odparłem — zdaje mi się, że wyraz rozpaczy. A widzi pani, że czuliśmy tak samo!

Po chwili zapytała:

— I sądzi pan, że rozpacz jest godna pochwały?

Obserwowałem ją zdumiony.

— Nie — odrzekłem — mam wrażenie, że nie. A pani co sądzi?

Długo milczała, wreszcie zwróciła w moją stronę twarz i utkwiała we mnie spojrzenie.

— Wyrażenie „godna pochwały” nie ma tu nic do rzeczy — rzekła, jakby odpowiadając na własne pytanie. — Najważniejsza jest prawda.

— Uważa więc pani tę scenę za prawdziwą?

— Oczywiście — stwierdziła twardo.

Przyglądałem się jej twarzy i spojrzeniu. „Skąd ta twardość? — pytałem sam siebie. — Dlaczego?” Może wyczuła mój niepokój, moje nieodparte pragnienie zrozumienia jej, gdyż po chwili wzrok jej złagodniał, jakby proponując mi most, lecz most ten zdawał się być chwilowy i kruchy, zawieszony nad przepaścią. Nieco zmienionym głosem dodała:

— Nie wiem, co zyska pan widując mnie. Wszystkim, którzy się do mnie zbliżają, przynoszę ból.

X Umówiliśmy się na następne spotkanie. Krępowalem się powiedzieć, że chciałbym ją widzieć zaraz następnego dnia lub że pragnąłbym ją widzieć tutaj jeszcze tego samego dnia i że ona nie powinna nigdy ode mnie odejść. Chociaż pamięć na ogół mam wspaniałą, czasami tworzą się w niej raptowne, niewytłumaczalne luki. Nie wiem, co jej wówczas powiedziałem, pamiętam tylko, że ona odpowiedziała mi, iż musi już iść.

Tegoż wieczoru zatelefonowałem do niej. Telefon przyjęła jakaś kobieta. Gdy powiedziałem, że chcę mówić z panną Marią Iribarne, przez sekundę jakby się wahała, następnie oświadczyła, że pójdzie zobaczyć, czy jest w domu. Niemal natychmiast usłyszałem głos Marii, lecz odezwała się do mnie tonem prawie urzędowym, co mnie niemile uderzyło.

— Muszę cię zobaczyć, Mario — powiedziałem. — Od chwili naszego rozstania nieustannie o tobie myślę. Zamilkłem drżąc. Nie odpowiedziała.

— Dlaczego nie odpowiadasz? — zapytałem z rosnącym niepokojem.

— Proszę poczekać chwilę.

Słyszałem, jak odłożyła słuchawkę. Po chwili znów ją usłyszałem, tym razem mówiła głosem naturalnym. Teraz również i ona zdawała się drzeć.

— Nie mogłam mówić — tłumaczyła się.

— Dlaczego?
— Bo tu dużo ludzi się kręci.
— A teraz już możesz?
— Tak, zamknęłam drzwi. Gdy zamykam drzwi, wiedzą, że nie należy mi przeszkadzać.
— Muszę cię zobaczyć, Mario — powtórzyłem z naciskiem. — Od południa myślę wyłącznie o tobie, do niczego innego nie jestem zdolny.
Nic nie odpowiedziała.
— Dlaczego milczysz?
— Castel... — zaczęła niezdecydowanie.
— Nie mów do mnie per Castel! — zawołałem do tknięty.
— Juan Pablo... — wyrzekła trwożliwie.
Poczułem, że niewysłowione szczęście zaczyna się od tych słów.
Maria jednak znów zamilkła.
— Co się stało? — zapytałem. — Dlaczego milczysz?
— Ja również — szepnęła.
— Ja również... ale co? — wypytywałem niecierpliwie.
— Ja również myślałam.
— Ale myślałaś o czym?
— O wszystkim.
— Jak to o wszystkim? O czym?
— O tym, że wszystko to takie dziwne... ten twój obraz... wczorajsze spotkanie... dzisiaj... sama nie wiem już, co...
Brak precyzji zawsze mnie irytował.
— Tak, ale ja powiedziałem, że nie przestaję myśleć o tobie — odrzekłem. — A ty nie mówisz, że myślałaś o mnie.
Minęła chwila, zanim powiedziała:
— Mówię przecież, że myślałam o wszystkim.
— Ale nie powiedziałaś, o czym.
— Bo wszystko to takie dziwne... jestem roztargniona... Oczywiście, myślałam o tobie.
Serce zabiło mi mocniej. Pragnąłem szczegółów. Wzruszam się szczegółami, nie zaś ogólnikami.
— Ale co, co?... — zapytałem z podnieceniem wciąż wzrastającym. — Ja myślałem o każdym szczególe twojej urody, o profilu, gdy patrzałaś na drzewo, 31

o kasztanowatych włosach, o oczach twardych, które nagle miękną, o sposobie chodzenia...

— Muszę przerwać — oświadczyła nagle. — Ktoś idzie.

— Zadzwoń jutro rano — zdążyłem dodać, zrozpaczony.

— Dobrze — rzuciła szybko.

XI Wieczór i noc miałem niespokojną. Nie byłem w stanie ani rysować, ani malować, mimo prób i wysiłków. Wyszedłem na spacer i raptem znalazłem się na ulicy Corrientes. Zaszła we mnie jakaś dziwna przemiana: na wszystko teraz patrzyłem z sympatią. Ponieważ postanowiłem tę opowieść napisać z jak największą bezstronnością, chcę dać tego dowód, przyznając się do jednego z największych moich defektów: zawsze darzyłem ludzi antypatią, a nawet uczuciem obrzydzenia. Szczególnie odpychał mnie tłum ludzki. Nigdy na przykład nie lubiłem plaż, zawodów piłkarskich, wyścigów konnych, wszelkiego rodzaju tłumnych manifestacji. Poszczególnych ludzi, zwłaszcza kobiety, owszem, lubiłem, napawały mnie bądź to zachwytem (nie jestem zazdrosny), bądź też prawdziwą sympatią. Szczególnie żywym uczuciem darzyłem zawsze dzieci, zwłaszcza gdy zapomniałem, że w końcu będą z nich tacy sami ludzie jak wszyscy. Na ogół jednak gardziłem ludźmi. Nieraz zauważona czyjaś ujemna cecha odbierała mi apetyt, niszczyła zapał twórczy co najmniej na przeciąg tygodnia. Wprost nie do wiary, w jakim stopniu można czasem zobaczyć w jednej twarzy, w jednym spojrzeniu całą chciwość, zawiść, zuchwałość, nieokrzesianie i w ogóle cały zespół atrybutów składających się na charakter rodzaju ludzkiego. Po zetknięciu się z tym wszystkim człowiek traci apetyt, polot twórczy, a nawet chęć do życia. Jednakże chcę, żeby skonstatowano, że nie jestem dumny z tej swojej właściwości. Wiem, że jest to dowód pychy, jak również wiem, że i do mojej duszy niejednokrotnie zakradała się i zakrada chciwość, zuchwałość, gruboskórność i inne ujemne cechy. Zapowiedziałem, że będę tę historię opowiadał z jak największą bezstronnością, tak więc czynię.

Tego wieczoru zatem moja pogarda dla ludzkości 32

runęła, co najmniej zaś opuściła mnie na jakiś czas. Wszedłem do kawiarni Marzotto. Ludzie tu przychodzą, by posłuchać tang, a słuchają tak, jak miłośnik muzyki lub wierzący w Boga słucha *Pasji według świętego Mateusza*.

XII Nazajutrz rano gdzieś około dziesiątej zatelefonowałem. Telefon przyjęła ta sama kobieta co dnia poprzedniego. Gdy zapytałem o pannę Marię Iribarne, powiedziała mi, że tegoż ranka wyjechała na wieś. Zdrętwiałem.

' — Na wieś?

— Tak, proszę pana. Czy to pan Castel?

— Tak.

— Zostawiła tutaj list dla pana. Kazała przeprosić, ale nie miała pańskiego adresu.

Tak bardzo liczyłem na to, że zobaczymy się tego dnia, i tylu ważnych rzeczy spodziewałem się po tym, że wiadomość o wyjeździe uderzyła we mnie obuchem. Nasunął mi się cały szereg pytań. Dlaczego nagle wyjechała na wieś? Prawdopodobnie decyzję tę powzięła po naszej rozmowie telefonicznej, w przeciwnym bowiem razie byłaby wspomniała o zamierzonej podróży, przynajmniej zaś nie byłaby zaakceptowała mojej sugestii dotyczącej rozmowy telefonicznej następnego ranka. A teraz dalej: jeśli wyjechać postanowiła po naszej rozmowie telefonicznej, czy nie było to *n a s t ę p s t w e m t e j* rozmowy? A jeśli tak, to dlaczego? Czyżby znów chciała uciec ode mnie? Obawiała się nieuniknionego spotkania ze mną następnego dnia?

Ten nieoczekiwany wyjazd na wieś obudził we mnie pierwsze wątpliwości. Jak zawsze zacząłem szukać podejrzanych szczegółów, na które może przedtem nie zwróciłem należytej uwagi. Jak tłumaczyć te tajemnicze zmiany głosu podczas rozmowy telefonicznej? Kim byli ci ludzie, którzy się tam ciągle kręcili i przeszkadzali jej mówić tonem naturalnym? To jednocześnie było dowodem, że ona jest zdolna do symulacji. I dlaczego tamta kobieta zawałała się, gdy spytałem o pannę Iribarne? Jedno zdanie szczególnie mnie prześladowało: „Gdy zamykam drzwi, wiedzą, że nie należy mi przeszkadzać”. Po-

33

myślałem, że „wokół Marii jest wiele spraw niejasnych”.

Refleksje te rodziły się we mnie, gdy pędziłem do jej domu. Ciekawe, dlaczego ona nie zapytała mnie o mój adres? Ja natomiast już znałem zarówno jej adres, jak numer telefonu. Mieszkała przy ulicy Posadas, prawie na rogu Seaver.

Gdy wszedłem na piąte piętro i nacisnąłem dzwonek, byłem bardzo zdenerwowany.

Drzwi otworzył mi służący, który musiał być chyba Polakiem, i wprowadził mnie do saloniku zawalonego książkami. Wszystkie ściany były zastawione wysokimi półkami, pod sam sufit, sterty książek leżały również na stolikach i na fotelu. Zwróciłem uwagę na niezwykle duży format wielu z tych książek.

Wstałem, by obejrzeć bibliotekę. Nagle odniosłem wrażenie, że ktoś znajdujący się poza moimi plecami obserwuje mnie. Odwróciłem się i ujrzałem w drugim końcu saloniku mężczyznę wysokiego, szczupłego, o pięknej głowie. Uśmiechał się patrząc na mnie, wzrok jednak miał jakiś ogólny, niesprecyzowany. Mimo że miał oczy otwarte, zrozumiałem, że jest niewidomy. Teraz wiedziałem, dlaczego niektóre książki w bibliotece były takie duże.

— Pan Castel, nieprawdaż? — zapytał serdecznie i wyciągnął do mnie dłoń.

— Tak, panie Iribarne — odrzekłem podając mu rękę, zaskoczony, starając się jednocześnie domyślić, jaki stosunek rodzinny łączy go z Marią.

Wskazując mi fotel, uśmiechnął się z pewnym odcieniem ironii i sprostował:

— Nie nazywam się Iribarne. Jestem mężem Marii, nazywam się Allende. — Przyzwyczajony do wartościowania i interpretowania milczenia, natychmiast dodał: — Maria zawsze posługuje się swoim nazwiskiem panińskim.

Stałem jak zamieniony w posąg.

— Maria dużo mi mówiła o pańskim malarstwie. Co prawda przed paru laty oślepiłem, zachowałem jednak dość dobrą wyobraźnię.

Sprawała wrażenie, jakby chciał usprawiedliwić się przede mną ze swojej ślepoty. Nie wiedziałem, co mu mam powiedzieć. Zapragnąłem nagle znaleźć się sam, na ulicy, by zastanowić się nad tym wszystkim.

Wyjął z kieszeni list i'podał mi.

— Oto list — powiedział tonem naturalnym, jakby w tym nie było nic nadzwyczajnego.

Wziąłem go i chciałem schować, gdy niewidomy, jakby zauważywszy mój ruch, dodał:

— Proszę przeczytać od razu. Chociaż list od Marii nie powinien być bardzo pilny.

Zadrzałem. Otworzyłem kopertę, podczas gdy on zapalał papierosa. Wyjąłem list. Zawierał jedno jedyne zdanie:

Ja również myślę o panu

Maria

Gdy niewidomy usłyszał szelest składanego papieru, zapytał:

— Sądzę, że to nic pilnego, prawda?

Z trudem odpowiedziałem:

— Nie, nic pilnego.

Miałem wrażenie, że jestem jakimś monstrem, gdy ślepiec patrzył tak na mnie, uśmiechnięty, z szeroko otwartymi oczami.

— Taka już jest Maria — rzekł jakby do siebie. — Ludzie zazwyczaj utożsamiają jej impulsy z pilnymi sprawami. Maria rzeczywiście działa bez namysłu, co bynajmniej nie oznacza, że robi rzeczy, które wpływają na zmianę sytuacji. Jak to wytłumaczyć?...

Utkwił wzrok w podłozie, jakby szukając jaśniejszego sformułowania swej myśli. Po chwili dodał:

— To tak, jakby ktoś stał na pustyni i nagle szybko zmienił miejsce. Rozumie pan? Szybkość tej zmiany jest tu nieistotna, bo krajobraz pozostaje w dalszym ciągu ten sam.

Zapalił papierosa i myślał jeszcze przez chwilę, jakby był nieobecny. Po czym rzekł:

— Chociaż nie jestem pewien, czy się dokładnie wyraziłem. Nie mam zdolności do metafor.

Szukałem dogodnej chwili, by uciec z tego przekłętego salonu. Ale ślepcowi widocznie się nie spieszyło. „Cóż to za obrzydliwa komedia?” — pomyślałem.

— Chociażby i tym razem — mówił dalej Allende. — Wstaje rano i raptem oświadcza, że jedzie do estancji.

— Do estancji? — zapytałem mimo woli.

— Tak, do naszej estancji. To jest do estancji mojego dziadka, która obecnie należy do mego kuzyna Huntera. Sądzę, że go pan zna.

Ta nowa rewelacja nappełniła mnie niepokojem i złością zarazem: co Maria mogła widzieć w tym głupim kobieciarzu i cyniku? Usiłowałem uspokoić się, więc pomyślałem, że udała się do estancji nie dla Huntera, lecz po prostu dlatego, że lubiła samotność wiejską, a że estancja należała do rodziny... Byłem jednak przygnębiony.

— Słyszałem o nim — rzekłem z goryczą.

Nie czekając, aż niewidomy coś powie, szorstko dodałem:

—■ Muszę już iść.

— *Carramba*, jaka szkoda — powiedział Allende. —■ Mam jednak nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

— Ależ naturalnie — odrzekłem.

Odprowadził mnie do drzwi. Podałem mu rękę i wybiegłem. Zjeżdżając windą powtarzałem wściekły: „Co znaczy ta obrzydliwa historia?”

XIII Czułem potrzebę opanowania się i skupienia.

Poszedłem ulicą Posadas w kierunku Recolety.

Głowa moja zamieniła się w istne piekło; różne myśli, uczucia miłości i nienawiści, pytania, żal i wspomnienia pomieszały się ze sobą i występowały kolejno.

Co to za pomysł, na przykład, zmusić mnie, bym szedł do jej domu po list, który miał mi wręczyć mąż? I jak mogłem nie spostrzec, że była mężatką? Co, u diabła, miała do roboty w estancji z tym bezwstydnym Hunterem? Dlaczego nie czekała na mój telefon? A ten ślepiec, cóż to znowu za gagatek? Wspominałem już, że jestem uprzedzony do ludzi. Obecnie wyznaję, że niewidomi wcale mi się nie podobają. Przy nich miewam takie uczucie, jakie wywołują w nas pewne stwory zimne, wilgotne, milczące, jak żmije. Jeśli się do tego doda fakt, że w jego obecności czytałem list od jego własnej żony, w którym napisała: 36

„Ja również myślę o panu”, można się domyślić, jaki odczuwałem wówczas niesmak.

Usiłowałem uporządkować nieco chaos myśli stosując utartą metodę. Należało rozpatrzeć wszystko od początku, a na początku (przynajmniej tym bezpośrednio) była oczywiście rozmowa telefoniczna. Otóż miała ona dużo punktów niejasnych.

Przede wszystkim jeśli Maria w swoim domu utrzymywała stosunki towarzyskie z wieloma mężczyznami, czego dowodem jest chociażby list doręczony za pośrednictwem męża, po co mówiła ze mną tonem neutralnym i urzędowym, zanim zamknęła drzwi? Następnie, co oznaczało wyjaśnienie, że gdy drzwi są zamknięte, „wiedzą, że nie należy mi przeszkadzać”? Widocznie bardzo często zdarzało się, że się zamykała, by mówić przez telefon. Nie do wiary, by zamykała się dla prowadzenia zwykłych rozmów z przyjaciółmi domu; przypuszczalnie były to rozmowy w rodzaju naszej. A więc byli w jej życiu inni mężczyźni tacy jak ja. Ilu ich było? Co to za jedni?

W pierwszym rzędzie pomyślałem o Hunterze, ale natychmiast go wykluczyłem: dlaczego by miała z nim porozumiewać się telefonicznie, skoro w każdej chwili mogła go widzieć w estacji? A więc kim byli ci inni?

Zastanawiałem się, czy już wyczerpałem sprawę telefonów. Nie, nie koniec na tym: pozostawał nie wyjaśniony problem odpowiedzi na moje najważniejsze pytanie. Przypomniałem sobie nie bez uczucia gorczy, że gdy zapytałem, czy myślała o mnie, po wielu wykrętach powiedziała tylko: „Czyż nie mówię, że myślałam o wszystkim?” Taka odpowiedź pytaniem na pytanie do niczego nie zobowiązuje. Wreszcie, że ta odpowiedź była niedostatecznie jasna, dowodzi fakt, że ona sama następnego dnia (a może jeszcze tegoż wieczora) uznała za potrzebne odpowiedzieć w formie bardziej sprecyzowanej, listownie.

„Przejdźmy do listu” ■— pomyślałem. Wyjąłem go z kieszeni i przeczytałem po raz drugi:

Ja również myślę o panu

Maria

Charakter pisma był nerwowy, choć może po prostu zdradzający osobę nerwową, a to nie jest to samo. W pierwszym wypadku byłby to wyraz aktualnej emocji, a więc wskaźnik sprzyjający mi. Bądź co bądź wzruszył mnie bardzo podpis: *Maria*. Zwyczajnie: *Maria*. Ta prostota napawała mnie radością, gdyż wskazywała na to, iż dziewczyna już tkwiła w moim życiu i w pewnym stopniu należała do mnie.

Ach, te stany szczęśliwości, jakie one są krótkotrwałe... Chociażby i to wrażenie, o którym przed chwilą wspomniałem. Bo czy jest ono logiczne? Czyż mąż nie nazywał jej Marią? A Hunter? Ten również z pewnością tak ją nazywał, bo i jakżeby inaczej? A wszystkie te inne osoby, z którymi rozmawiała przy drzwiach zamkniętych? Wyobrażam sobie, że nie potrzeba rozmawiać przy drzwiach zamkniętych z kimś, kto z respektem mówi „panno Iribarne”.

„Panna Iribarne”! Teraz zrozumiałem wahanie pokojówki, gdy zadzwoniłem po raz pierwszy. Co za groteska! Był to jeszcze jeden dowód, że tego rodzaju rozmowy telefoniczne nie były nowością; na pewno gdy po raz pierwszy ktoś zapytał o „pannę Iribarne”, zdziwiona pokojówka siłą rzeczy musiała sprostować tę „pannę Iribarne” na „Allende” z podkreśleniem pani, ale gdy zaczęło się to powtarzać, poprzestała na wzruszeniu ramionami, pomyślawszy, że za tym coś się kryje i nie należy robić żadnych sprostowań. Wahala się, to prawda, ale nie korygowała.

Wracając do listu, znalazłem mnóstwo powodów do wyciągnięcia pewnych wniosków. Zacząłem od rzeczy najosobliwszej: od formy przesłania mi go. Przypomniałem sobie wytłumaczenie przekazane mi przez pokojówkę: „Kazała przeprosić, ale nie miała pańskiego adresu”. Rzeczywiście: ani ona nie poprosiła mnie o mój adres, ani mnie nie przyszło na myśl, by go jej dać. Ale ja na jej miejscu byłbym poszukał adresu w książce telefonicznej. Trudno było jej postępek przypisać zwykłemu lenistwu, wniosek więc nasuwał się sam: Maria chciała, bym poszedł do jej domu i zetknął się z jej mężem. Dlaczego? Tu doszedłem do sytuacji w najwyższym stopniu zawilej: może jej sprawiało przyjemność posługiwanie się mężem jako pośrednikiem, a może to sprawiało przyjemność mężowi; może oboje 38

gustowali w tym sadystycznym sporcie? Obok tych możliwości patologicznych istniała jedna naturalna: Maria chciała mi dać do zrozumienia, że jest mężatką, to znaczy, bym uznał dalsze zaloty za niewłaściwe.

Jestem przekonany, że większość czytelników przychyli się do tej ostatniej hipotezy i osądzi, że tylko taki dziwak jak ja może uciec się do innej. W czasach kiedy miałem wielu przyjaciół, bardzo często wyśmiewano moją manię obierania sobie dróg najbardziej zawitych. Ja zaś pytam: dla czego rzeczywistość miałaby być prosta? Doświadczenie mnie nauczyło, że prawie nigdy taka nie jest oraz że wszystko, co się wydaje nader jasne, każde działanie, które na pozór wydaje się proste, zazwyczaj jest podbudowane bodźcami raczej złożonymi. Przykład z życia codziennego: ludzie dający jałmużnę. Na ogół sądzi się, że są to ludzie lepsi i hojniej si niż ci, co tego nie czynią. Ja zaś odrzucam tę symplicystyczną teorię. Wszyscy wiemy, że problemu żebractwa (autentycznego żebractwa) nie zlikwiduje się dziesięcioma *centavos* lub kawałkiem chleba; rozwiąże się jedynie problem psychologiczny tego pana, który tak tanim kosztem kupuje sobie swój spokój duchowy i tytuł hojnego dobroczyńcy. Proszę osądzić, jak dalece ludzie ci są skąpi, załgani i chciwi, jeżeli zadowolają się wydaniem dziesięciu *centavos* dziennie, by zapewnić sobie spokój duchowy oraz pokrzepiające i zarozumiałe przekonanie o swej wspaniałomyślnej dobroci. O wielez więcej czystości ducha i odwagi mieć trzeba, by znosić istnienie nędzy ludzkiej bez tej operacji lichwiarskiej hipokryzji.

Wróćmy jednak do listu.

Jedynie człowiek płytki mógłby poprzestać na tej ostatniej hipotezie, gdyż upadła ona przy najpowszechniejszej analizie. „Maria chciała mi dać do zrozumienia, że jest mężatką, to znaczy, bym zrezygnował z dalszych zalotów”. Pięknie. Ale po cóż w takim razie przedsiębrać sposób postępowania tak utrudniający sprawę i okrutny? Czyż nie mogła mi tego powiedzieć osobiście, a choćby telefonicznie? Mogłaby ostatecznie napisać, gdyby nie starczyło jej odwagi na powiedzenie mi tego. Wreszcie jeszcze jeden druzgocący argument: dlaczego nie napisała mi w zostawionym przez siebie liście, że jest mężatką, jak o tym 39

sam się przekonałem, i nie zwróciła się z prośbą, bym potraktował naszą znajomość z większym spokojem i rozwagą? Nie, proszę państwa, przeznaczeniem listu było zacieśnić i pobudzić nasze stosunki oraz skierować je na drogę o wiele bardziej ryzykowną.

Pozostawały więc hipotezy patologiczne. Czyżby to jednak było możliwe, by Maria doznawała przyjemności posługując się Allendem jako pośrednikiem"? By on sam szukał takich okazji? A może los zakpił sobie łącząc ze sobą dwoje podobnych ludzi?

Ogarnęło mnie nagłe przerażenie, gdy doszedłem do tych krańcowych wniosków, a wszystko to przez ten mój przeklęty zwyczaj ciągłego analizowania faktów i słów. Przypomniałem sobie spojrzenie Marii utkwione w drzewo na placu, podczas gdy słuchała, co do niej mówiłem. Przypomniła mi się jej nieśmiałość, pierwsza ucieczka. Zaczęła mnie zalewać fala bezbrzeżnej czułości. Wydała mi się kruchym, nierealnym dzieckiem, zagubionym w tym świecie okrutnym, pełnym brzydoty i nędzy. Doznałem uczucia identycznego jak wówczas w Salonie Malarskim: ona była w każdym calu taka jak ja.

Zostawiłem swoje suche rozmyślania i okrutne dedukcje. Zacząłem wyobrażać sobie jej twarz, jej wzrok, ten wzrok wyrażający coś, czego nie mogłem sprecyzować, jej głęboki i melancholijny sposób myślenia. Znowu doznałem wrażenia, że moja anonimowa miłość, którą pielęgnowałem w ciągu długich lat samotności, skoncentrowała się w Marii. Jak mogłem myśleć o rzeczach tak absurdalnych?

Staralem się więc zapomnieć o wszystkich moich głupich dedukcjach dotyczących telefonu, listu, estancji, Huntera.

Nie p o t r a f i ł e m jednak.

XTV W ciągu następnych dni żyłem w ustawicznym podnieceniu. W pośpiechu nie zapytałem wówczas, kiedy Maria wraca z estancji. Tego samego dnia, po wizycie, zatelefonowałem, by się dowiedzieć. Pokójówka oświadczyła, że nie wie. Wówczas poprosiłem o adres estancji.

Tegoż wieczora napisałem do niej rozpaczliwy list, pytając o datę powrotu, prosząc o telefon natychmiast 40

po powrocie do Buenos Aires i o napisanie do mnie. By ryzyko sprowadzić do minimum, poszedłem na Poczta Główną i wysłałem list jako polecony.

Jak już wspomniałem, przez kilka dni trwałem w wielkim podnieceniu i niezliczoną ilość razy wracały mi czarne myśli, które owładnęły mną po wizycie na ulicy Posadas. Jednej nocy miałem następujący sen: zwiedzałem jakiś stary samotny dom. Był to dom w pewien sposób mi znany, za którym bezgranicznie tęskniłem od dzieciństwa, więc po wejściu do niego kierowałem się wspomnieniami. Chwilami gubiłem się w mroku i odnosiłem wrażenie, że w ciemności ktoś czyha na mnie, jacyś ukryci wrogowie szeptali i drwili ze mnie i z mojej naiwności. Kim byli ci ludzie i czego chcieli? Mimo wszystko czułem, że w tym domu odradza się we mnie dawna młodzieńcza miłość, dawne bicie serca, uczucie łagodnego obłędu, obawy i radości. Gdy się obudziłem, zrozumiałem, że tym wyśnionym domem była Maria.

XV W ciągu dni poprzedzających list moja myśl była podobna do zabląkanego w mglistym krajo-
obrazie podróżnika: to tu, to tam z wielkim wysiłkiem odróżniałem ledwie zarysowujące się cienie ludzi i przedmiotów, niewyraźne kontury niebezpieczeństw i przepaści. Nadejście listu było niejako wschodem słońca.

L e c z b y ł o t o s ł o Ń c e czarne, słońce nocne. Me wiem, czy tak można się wyrazić, ale mimo że nie jestem literatem i nie mam pewności, czy to określenie jest ścisłe, nie wycofuję określenia „nocne”. W odniesieniu do Marii wyraz ten jest bodajże najwłaściwszy ze wszystkich wyrazów, jakie posiadamy w naszym niedoskonałym języku.

W liście Maria pisała:

Spędziłam tu trzy dziwne dni: morze, plaża, drogi niosły mi wspomnienia dni ubiegłych. Nie tylko obrazy, również głosy, wołania i długie milczenia przeszłych dni. Ciekawe, że żyć to znaczy budować przyszłe wspomnienia; w tej chwili podchodzi tu morze i wiem, że przygotowuję dokładne wspomnienia, które kiedyś przyniosą mi melancholię i rozpacz.

Morze jest tuż, wieczne i wściekle. Tamten mój płacz niepotrzebny, jak niepotrzebne również oczekiwania na samotnej plaży ze wzrokiem wypatrującym czegoś uparcie na morzu. Czy ty to przewidziałeś i malowałeś to moje wspomnienie, czy też malowałeś wspomnienia wielu innych osób, takich jak ty i ja?

Ale ter"az zjawia się twoja postać: jesteś między morzem i mną. Moje oczy spotykają się z twoimi oczyma. Jesteś spokojny i jakby smutny, patrzysz na mnie, jakbyś błagał o pomoc.

Maria

Jak dobrze ją rozumiałem i jakie wspaniałe uczucia mną zawładnęły! Również pisanie przez t y zapewniło mnie, że Maria jest moja. Wyłącznie moja: „Jesteś między morzem i mną”, a zatem nie było tam nikogo więcej, tylko nas dwoje razem, tak jak to przeżyłem w chwili, gdy przyglądała się scenie z okienkiem. Zaprawdę, dlaczegoż nie miałyby mówić mi t y, jeżeli znaliśmy się od zawsze, od tysięcy lat. Już wówczas gdy się zatrzymała przed moim obrazem i oglądała tamtą małą scenkę, to już jakbyśmy mówili sobie ty, już wówczas wiedzieliśmy, kto i jaka ona jest, jak bardzo była mi potrzebna, a zarazem jak ja potrzebny byłem jej.

A jednak zamordowałem cię. I zrobiłem to ją, który poprzez szklaną ścianę nie mogłem dotknąć ciebie, twojej niemej i smutnej twarzy! Ja, głupiec, ślepiec, egoista, okrutnik!

Ale dość tych wylewności. Powiedziałem już, że opowiem tę historię w formie czystej, i tak też zrobię.

XVI Kochałem Marię miłością desperacką, chociaż słowo „miłość” nie zostało między nami wypowiedziane. Z utęsknieniem czekałem na jej powrót z estancji, by jej to wyznać.

Lecz nie wracała. W miarę jak mijały dni, mój obłęd wzmagał się. Wysłałem do niej drugi list, w którym po prostu napisałem: „Kocham cię, Mario, kocham, kocham!”

Nareszcie po dwóch dniach nadeszła odpowiedź zawierająca tylko te słowa: „Boję się, że sprawię ci wiele bólu”. Odpowiedziałem natychmiast: „Nic mnie nie 42

obchodzi, co możesz mi zrobić. Gdybym nie mógł cię kochać, umarłbym. Każda sekunda, którą spędzam nie widząc cię, jest nie kończąca się torturą".

Minęło kilka okrutnych dni, odpowiedzi nie było. Zrozpaczony napisałem: „Depczesz moją duszę".

Następnego dnia przez telefon usłyszałem jej głos, daleki i drżący. Oprócz wyrazu „Mario!", powtórnego kilkakrotnie, nic więcej nie potrafiłem z siebie wykrztusić. Nie mogłem zachować się inaczej, po prostu gardło mi się ścisnęło.

Powiedziała:

— Jutro wracam do Buenos Aires. Zatelefonuję zaraz po przyjeździe.

Następnego dnia po południu zatelefonowała z domu.

— Chcę cię zobaczyć natychmiast — oświadczyłem.

— Tak, zobaczymy się jeszcze dzisiaj — odrzekła.

— Czekam na placu San Martin — powiedziałem.

Maria zdawała się wahać. Potem odezwała się:

— Wolałabym Recoletę. Będę o ósmej.

Jakże oczekiwałem tej chwili, jak przemierzałem bez celu ulice, aby czas upłynął jak najszybciej... Jaka rozkoszna fala czułości zalała moją duszę, jaki piękny wydawał mi się świat, letnie popołudnie, dzieci bawiące się na chodniku. Zobaczyłem na własne oczy, do jakiego stopnia miłość zaślepia i jaką magiczną ma siłę przeobrażania. O piękności świata! Doprawdy, można umrzeć ze śmiechu!

Kilka minut po ósmej zobaczyłem Marię zbliżającą się i szukającą mnie w ciemności. Było już zbyt późno, bym widział jej twarz, lecz poznałem ją po ruchach.

Usiedliśmy. Ścisnąłem ramię Marii i wiele razy powtórzyłem bezsensownie jej imię; nie mogłem zdobyć się na nic innego, ona zaś zachowywała milczenie.

— Dlaczego wyjechałaś do estancji?! — zapytałem nareszcie gwałtownie. — Dlaczego zostawiłaś mnie samego?! Dlaczego zostawiłaś ten list w domu?! Czemu nie powiedziałaś mi, że jesteś mężatką?!

Milczała. Mocniej ścisnąłem jej ramię. Jęknęła.

— Boli, Juan Pablo — rzekła łagodnie.

— Dlaczego nic nie mówisz? Czemu nie odpowiadasz? 43

Milczała w dalszym ciągu.

— Dlaczego?! Dlaczego?!

Wreszcie przemówiła:

— Czemu na wszystko zaraz ma być odpowiedź?

Nie mówmy o mnie, mówmy o tobie, o twoich kłopotach. Ciągłe myślałam o twojej twórczości, o tym, coś mi powiedział na placu San Martin. Ciekawa jestem, co obecnie myślisz, co robisz, czy ostatnio coś malowałeś czy nie.

Znów z wściekłością ścisnąłem jej ramię.

— Nie — odpowiedziałem. — Nie o sobie chcę mówić, pragnę mówić o nas obojgu, chcę wiedzieć, czy mnie kochasz. Chcę wiedzieć tylko jedno: czy mnie kochasz.

Nie odpowiedziała. Zrozpaczony z powodu jej milczenia i ciemności, która nie pozwalała mi czytać w jej oczach, zapaliłem zapałkę. Maria odwróciła się raptownie i skryła twarz. Wolną ręką ująłem jej podbródek i zmusiłem, by spojrzała na mnie: płakała.

— A... więc mnie nie kochasz — powiedziałem z goryczą.

W świetle dogasającej zapałki zauważyłem jednak, że patrzyła na mnie pogodnie. Potem, już w ciemności, objęła moją głowę i powiedziała łagodnie:

— Oczywiście że cię Kocham... Czyż konieczne jest mówienie pewnych rzeczy?

— Ale powiedz — nalegałem — jak mnie kochasz? Wiele jest sposobów kochania. Można również kochać psa, dziecko... Chcę mówić o miłości, o prawdziwej miłości, rozumiesz?

Miałem dziwne przeczucie: szybko zapaliłem zapałkę. Tak jak przeczuwałem, na twarzy Marii igrał uśmiešek. Właściwie nie uśmiechała się już w tej chwili, lecz widać jeszcze było na jej twarzy resztki uśmiechu sprzed ułamka sekundy. Zdarzyło mi się nieraz w życiu odnieść wrażenie, że jestem śledzony. Nikogo dokoła nie było, ja zaś czułem, jakby coś przelotnego przed chwilą znikło i wokół drżał jeszcze lekki powiew. Czegoś podobnego doznałem teraz.

— Uśmiechałaś się — powiedziałem z wściekłością.

— Uśmiechałam? — zapytała zdziwiona.

— Tak, uśmiechałaś się! Nie tak łatwo mnie oszukać, jestem spostrzegawczy, widzę każdy szczegół.

— No i co zauważyłeś? — zapytała twardo.

— Wyczytałem coś w twojej twarzy: były na niej ślady uśmiechu.

— Z jakiego powodu miałabym się uśmiechać? — znów zapytała twardo.

— Z mojej naiwności, z mego pytania, czy mnie kochasz rzeczywiście, czy jedynie jak dziecko... Bo ja wiem zresztą. Ale uśmiechałaś się, to pewne.

Maria raptownie się podniosła.

—■ Co się stało? — spytałem zaskoczony.

— Idę już — oświadczyła sucho.

Zerwałem się.

— Jak to, idziesz?

— Tak, idę.

— Ależ dlaczego?

Nie odpowiedziała. Chwyciłem ją obiema rękami i niemal potrząsałem nią.

— Dlaczego idziesz?

— Obawiam się, że ty mnie nie zrozumiesz.

Oburzyłem się.

— Co? Pytam cię o coś, co dla mnie jest kwestią życia lub śmierci, a ty zamiast odpowiedzieć uśmiechasz się, a na domiar jeszcze się gniewasz. Jasne, że cię nie rozumiem!

— Zdawało ci się, że się uśmiechałam — zauważyła oschle.

— Przeciwnie, jestem tego pewien.

— A więc mylisz się. I boli mnie, że coś podobnego mogłeś pomyśleć.

Nie wiedziałem, co robić. Rzeczywiście, nie widziałem jej uśmiechu, tylko coś jakby jego cień na twarzy już poważnej.

—■ Nie wiem, Mario, wybac mi — powiedziałem zgnębiony. — Byłem pewny, że się uśmiechałaś.

Zamilkłem. Wzięła mnie czule za rękę i powiedziała głosem słabym i zbolałym:

— Ależ jak mogłeś coś podobnego pomyśleć?

— Nie wiem, nie wiem — odrzekłem, prawie łkając.

Kazała mi znów usiąść i objęła moją głowę jak poprzednio.

■— Uprzedzałam cię przecież, że sprawię ci dużo bólu — powiedziała po krótkim milczeniu. — Widzisz, że miałam rację.

— To była moja wina.

— Nie, raczej moja — zauważyła w zamyśleniu, mówiąc jakby do siebie.

„Jakie to dziwne” — pomyślałem.

— Co jest dziwne? — zapytała Maria.

Zdumiała mnie do tego stopnia, że myślałem (w ciągu dni następnych), iż ma dar odczytywania myśli. Po dziś dzień nie mam pewności, czy nie wypowiedziałem tamtych słów głośno, nie zdając sobie z tego sprawy.

— Co jest dziwne? — powtórzyła, gdyż zdumiony nie odpowiedziałem.

— Dziwna jest sprawa twojego wieku.

— Mojego wieku?

— Tak, twego wieku. Ile masz lat?

Wybuchnęła śmiechem.

— Jak ci się zdaje?

— Właśnie to jest dziwne — odrzekłem. — Gdy cię ujrzałem po raz pierwszy, wyglądałaś na dziewczynę mającą około dwudziestu sześciu lat.

— A teraz?

— Nie, nie! Już na początku byłem zaskoczony czymś niefizycznym, co mnie naprowadziło na myśl...

— Co cię naprowadziło na myśl?...

— Co mi kazało pomyśleć o wielu latach... Czasami czuję się wobec ciebie jak dziecko.

— A ile ty masz lat?

— Trzydzieści osiem.

— Rzeczywiście jesteś bardzo młody.

Spojrzałem na nią zdumiony. Nie żebym uważał swój wiek za podeszły, lecz dlatego że w każdym razie musiałem być starszy niż ona; niemożliwe, żeby miała więcej niż dwadzieścia sześć lat.

— Bardzo młody — powtórzyła, jakby odgadując moje zdumienie.

— A ty ile masz lat? — napierałem.

— Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? — odparła poważnie.

— ■ Po co więc pytałaś o mój wiek? — rzekłem, niemal rozzłoszczony.

— Cała ta rozmowa jest niedorzeczna — stwierdziła. — Wszystko to jest wielkie głupstwo. Dziwię się, że coś podobnego cię przejmuje.

Ja się przejmuję? Prowadzimy niedorzeczną rozmowę? Rzeczywiście, jak to się mogło stać? Byłem tak 46

wstrząśnięty, że zapomniałem o przyczynie pierwotnego pytania. Nie, raczej po prostu nie dochodziłem do tej przyczyny. Dopiero w domu, po kilku godzinach, zdałem sobie sprawę z głębokiego znaczenia tej rozmowy, na pozór tak pospolitej.

XVII Przez cały miesiąc widywaliśmy się niemal codziennie. Nie chcę wyliczać tutaj wszystkiego, co zaszło w tym okresie, zarazem wspaniałym i strasznym. Zaszło zbyt wiele rzeczy smutnych, bym chciał je tu wszystkie odtworzyć.

Maria zaczęła przychodzić do mojej pracowni. Scena z zapalkami powtórzyła się kilkakrotnie i zawiądnęła mną myśl, że w najlepszym wypadku jej miłość była macierzyńska lub siostrzana. Tak więc miłość fizyczna wydawała mi się jedynym dowodem prawdziwej miłości.

Przyznam się, że było to moje naiwne wyobrażenie, jedno z tych, które na pewno w Marii poza moimi plecami wywoływało śmiech. Zamiast uspokoić mnie, miłość fizyczna wniosła jeszcze większe zamieszanie, nowe męczące wątpliwości, bolesne sceny nieporozumień, jednym słowem, zostałem wystawiony na okrutne próby z Marią. Godzin spędzonych w pracowni nigdy nie zapomnę. Uczucia moje w tym okresie wahały się między najczystsza miłością a najbardziej nieokiełznaną nienawiścią. Wszystko to było reakcją na sprzeczności i niewytłumaczalne zachowanie się Marii. Mimo że oddawała mi się jak najzupełniej, nagle budziła się we mnie nieufność i podejrzenie o udawanie z jej strony. Chwilami zachowywała się jak skromny podłotek, raptem przychodziło mi na myśl, że jest taka jak wszystkie inne kobiety. Wówczas cały korowód wątpliwości i podejrzeń przesuwał się w moim mózgu: gdzie? jak? kto? kiedy?

W takich wypadkach nie mogłem pozbyć się myśli, że Maria grała najsubtelniejszą i najokrutniejszą komedię, a ja byłem w jej rękach śmiesznym dzieckiem, którego się pociesza łatwymi bajeczkami, żeby jadał lub spał. Niekiedy ogarniała mnie szalona wstydliwość, wówczas zrywałem się, ubierałem szybko i wybiegałem na ulicę, by zaczerpnąć trochę powietrza i przetrwać wątpliwości i doświadczenia. Innym ra-

zem znów reagowałem pozytywnie i brutalnie: rzucałem się na nią, wpijałem palce w jej ramiona, wbijałem wzrok w jej oczy usiłując wymusić na niej miłość, prawdziwą miłość.

Ale wszystko to właściwie nie jest tym, co chcę powiedzieć. Przyznam się, że sam nie wiem, co rozumiem przez „prawdziwą miłość”. O określeniu tym często myślałem, jednak nigdy nie przeanalizowałem zagadnienia do końca. Co miało oznaczać? Czy miłość powinna zawierać w sobie pasję fizyczną? Może szukałem jej w desperackim pragnieniu coraz bliższego zjednoczenia z Marią. Owszem, bywały chwile, kiedy doświadczyliśmy takiego zjednoczenia, lecz w formie tak kruchej, przemijającej, tak nieznacznej, że potem czułem się jeszcze samotniejszy niż przedtem, pełen nieokreślonego niezadowolenia, jakie odczuwamy chcąc zrekonstruować przygodę miłosną doświadczoną we śnie. Wiem, że czasami, patrząc na park po południu lub wyruszający z portu okręt o egzotycznej nazwie, nagle doznawaliśmy uczucia zjednoczenia. A to, że byliśmy razem, zmniejszało melancholię, która towarzyszy zawsze takim wrażeniom i którą z pewnością wywołują te przelotne i z istoty swojej niekomunikatywne piękności. Wystarczyło nam skrzyżowanie spojrzeń, by się przekonać, że myślimy, a raczej czujemy to samo.

Oczywiście płaciliśmy drogę za te chwile, bo to, co następowało potem, było wulgarnie i tępe. Wszystko, cośmy robili (rozmowa, picie kawy), było bolesne, gdyż podkreślało tylko, jak kruche i przelotne były chwile zjednoczenia. A co najgorsze, powodowały one nowe oddalenia, gdyż chcąc za wszelką cenę utrwalić nasze zjednoczenie, zmuszałem ją do związku cielesnego, przez co osiągnęliśmy jedynie świadomość, że utrwalenie tym sposobem jest nie do osiągnięcia. Maria zaś swoim zachowaniem całą rzecz jeszcze bardziej komplikowała. Chcąc może zniszczyć moją *idee fixe*, udawała, że odczuwa nieklamana i niewiarygodną wprost rozkosz. Wówczas następowały sceny mego ubierania się i ucieczki na ulicę lub też ścisnąłem brutalnie jej ramiona, by wymusić wyznanie, że jej uczucie i doznania są autentyczne. Wszystko to było takie obrzydliwe, że zazwyczaj gdy miało nastąpić zbliżenie fizyczne, starała się tego uniknąć. Wreszcie doszła do zu-

pełnego sceptycyzmu i usiłowała dać mi do zrozumienia, że te rzeczy były nie tylko zbędne dla naszej miłości, lecz wręcz zgubne.

Takim zachowaniem podkopała jeszcze bardziej moją wiarę w szczerość jej uczucia; zaczynałem podejrzewać, że całą tę komedię odgrywała po to, by mnie przekonać, że współżycie fizyczne szkodzi naszej miłości, i by w ten sposób uniknąć go na przyszłość. Rzeczywiście, Maria gardziła tego rodzaju miłością od samego początku, gdyż rozkosz jej była udana. Potem następowały inne kłótnie i nieporozumienia i na nic się zdawały jej próby ułagodzenia mnie szczeniowaniem o parkach i okrętach; jedyne, co osiągała, to nowe wątpliwości z mojej strony, które wywoływały coraz to inne i jeszcze bardziej skomplikowane indagacje.

Najbardziej bolało mnie — gdyby to wszystko było udawaniem — że oddałem się jej zupełnie bezbronny jak dziecko.

—■ Jeśli kiedyś dojdę do wniosku, że mnie oszukujesz — oświadczyłem w przystępie furii ■— zabiję cię jak psa!

Wykręcałem jej ramiona i patrzyłem natarczywie w oczy, czy nie ujrzę jakiejś oznaki, jakiegoś podejrzanego błysku, przelotnego cienia ironii. W takich wypadkach jednak ona patrzyła na mnie przestraszona lub ze smutkiem i rezygnacją, ubierając się w milczenie.

Pewnego dnia wybuchnęła między nami dyskusja gwałtowniejsza niż zwykle. Krzycząc nazwałem ją słowem przerażającym. Maria zamilkła, po czym wolnym krokiem poszła ubierać się za parawanem modelek, a gdy po zaciętej walce między uczuciem nienawiści i skruchy podbiegłem do niej, by błagać o przebaczenie, ujrzałem jej twarz zalaną łzami. Nie wiedziałem, co robić. Czule ucałowałem jej oczy, pokornie prosiłem o przebaczenie i płakałem wraz z nią, nazywając siebie okrutnym potworem, niesprawiedliwym i mściwym. Trwało to dopóty, dopóki nie znikł z jej twarzy wyraz niepocieszenia. Z chwilą jednak gdy się uspokoiła i zaczęła uśmiechać, wydało mi się nieprawdopodobne, by smutek jej rzeczywiście tak szybko znikł; owszem, mogła się uspokoić, lecz w najwyższym stopniu podejrzanym było to, że radośnie zaczęła 49

się śmiać, mimo że nazwałem ją obelżywym słowem. Wydaje mi się, że każda kobieta winna się czuć bardzo upokorzona taką oceną i że żadna tak szybko potem nie może przejść nad nią do porządku dziennego i odzyskać wesołości, chyba że w tej ocenie jest zawarta pewna doza prawdy.

Podobne sceny powtarzały się niemal codziennie. Nieraz kończyły się względnie spokojnie, wówczas spacerowaliśmy po placu Francuskim jak para młodocianych kochanków, rozmawiając o malarstwie lub muzyce, czasem ona nuciła mi jakąś piosenkę. Ale takie chwile tkliwości zdarzały się coraz rzadziej i trwały coraz krócej: były jak przelotne błyski słońca z nieba coraz bardziej groźnego i ciemnego. Moje wątpliwości

i indagacje oplatały wszystko jak liany, które oplatają i duszą drzewo parku swoją potworną siecią.

XVIII Moje indagacje, z każdym dniem częstsze i bardziej zawile, dotyczyły jej przemilczeń, niedomówień, spojrzeń, wyjazdów do estancji, przeżyć miłosnych. Pewnego razu zapytałem, dlaczego kazała sobie nazywać „panną Iribarne” zamiast „panią Allende”. Uśmiechnęła się i rzekła:

— Dzieciak z ciebie. Czy to takie istotne?

— Dla mnie jak najbardziej istotne — odrzekłem patrząc jej badawczo w oczy.

— Taki jest nasz zwyczaj rodzinny ■— wyjaśniła i przestała się uśmiechać.

— A jednak ■— ciągnąłem — gdy po raz pierwszy telefonowałem do twego domu i zapytałem o „pannę Iribarne”, pokojówka przez chwilę się wahała, zanim coś rzekła.

■— Zdawało ci się.

— Możliwe. Ale dlaczego "nie skorygowała?

Maria znów się uśmiechnęła, tym razem wyraźniej.

— ■ Powiedziała ci już — rzekła — że jest to nasz zwyczaj, więc pokojówka również wie o tym. Wszyscy nazywają mnie Marią Iribarne.

— Że Marią Iribarne, to mi się jeszcze wydaje naturalne, ale zastanawiające jest, że pokojówka się nie dziwi, gdy nazywają cię panną.

— Ach!... Nie domyśliłam się, że to cię zaskoczyło. 50

Dobrze, więc to nie jest u nas w zwyczaju i tym się chyba tłumaczy wahanie pokojówki.

Zamyśliła się, jakby po raz pierwszy zetknęła się z tym problemem.

— A jednak mnie nie poprawiła — powtórzyłem z uporem.

— Kto? — zapytała.

— Pokojówka. Nie sprostowała tej „panny”.

— Ależ Juan Pablo, wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia i nie wiem, doprawdy, czego chcesz.

— Chcę udowodnić, że najprawdopodobniej nie po raz pierwszy nazwano cię panną. W przeciwnym razie pokojówka na pewno by sprostowała.

Maria wybuchnęła śmiechem.

— Jesteś nadzwyczajny — powiedziała wesoło, pieszcząc mnie czule.

Byłem w dalszym ciągu poważny.

— Poza tym — ciągnąłem — gdy po raz pierwszy przyjąłeś mój telefon, mówiłaś ze mną tonem neutralnym, prawie urzędowym, do chwili gdy zamknęłaś drzwi. Potem zaczęłaś mówić głosem naturalnym i tklwym. Co spowodowało tę zmianę?

— Ach, Juan Pablo — rzekła poważniejąc — jakże mogłam z tobą mówić w obecności pokojówki?

— Tak, to jest logiczne, ale powiedziałaś: „Gdy zamykam drzwi, wiedzą, że nie należy mi przeszkadzać”. Nie mogłem tu w grę wchodzić ja, gdyż telefonowałem do ciebie po raz pierwszy. Również i Hunter nie wchodzi tu w rachubę, bo możesz go widywać tak często, jak tylko zechcesz, w estacji. Jasne więc jest, że są jeszcze inne osoby, które z tobą mówią lub mówiły. Czyż nie tak?

Maria spojrzała na mnie smutnym wzrokiem.

— Zamiast tak na mnie patrzeć, mogłabyś odpowiedzieć — dorzuciłem zirytowany.

— Ależ Juan Pablo, wszystko, co mówisz, to istna dziecinada. Oczywiście rozmawiają ze mną i inne osoby: kuzyni, przyjaciele domu, moja matka, bo ja wiem...

— Zdaje mi się jednak, że przy rozmowach tego rodzaju nie ma potrzeby się ukrywać...

— A co cię upoważnia do przypuszczenia, że ja się ukrywam? — odparła gwałtownie.

— Nie denerwuj się. Sama kiedyś mówiłaś o ja- 51

kimś Ryszardzie, który przecież nie był ani kuzynem, ani przyjacielem domu, ani twoją matką.

Maria zdawała się być przygnębiona.

— Biedny Ryszard — szepnęła łagodnie.

— Dlaczego biedny? — zapytałem.

— Przecież dobrze wiesz, że popełnił samobójstwo i ja w pewnym stopniu przyczyniłam się do tego. Pisywał do mnie rozpaczliwe listy, lecz ja nie mogłam dla niego nic zrobić. Biedny, biedny Ryszard!

— Chciałbym, abys mi pokazała któryś z tych jego listów.

— Po co, jeżeli już nie żyje?

— To nie ma znaczenia; w każdym razie chciałbym zobaczyć.

— Spaliłam je wszystkie.

•— Od razu mogłaś powiedzieć, że spaliłaś. Powiedziałaś natomiast: „Po co, jeżeli już nie żyje”. Zawsze to samo. A w ogóle po co je spaliłaś, jeśli zrobiłaś to rzeczywiście? Kiedyś powiedziałaś mi, że przechowujesz wszystkie swoje listy miłosne. Listy Ryszarda musiały być chyba bardzo kompromitujące, jeżeli tak postąpiłaś. Czyż nie?

— Spaliłam je nie dlatego, że były kompromitujące, lecz dlatego, że były smutne. Przygnębiały mnie.

— ■ Dlaczego cię przygnębiały?

— Nie wiem... Ryszard był człowiekiem deprymującym. Podobny był w tym zresztą do ciebie.

— Byłaś w nim zakochana?

— Proszę cię...

— O co prosisz?

— Ach, przestań, Juan Pablo. Przychodzą ci takie myśli...

— Me sędzę, by były pozbawione sensu. Zakochał się w tobie, pisze przerażające listy, które ty palisz, popełnia samobójstwo, a ty uważasz, że moje myślenie jest nielogiczne. Dlaczego?

— Dlatego że mimo wszystko nigdy nie byłam w nim zakochana.

— Dlaczego?

— Nie wiem doprawdy. Może dlatego, że to nie był mój typ.

— Powiedziałaś, że był podobny do mnie.

— O Boże! Chciałam powiedzieć, że był podobny do ciebie tylko w pewnym sensie, nie zaś i d e n-

tyczny. Nie był zdolny do jakiegokolwiek pracy twórczej, był raczej destruktywny, jego inteligencja była destruktywna, był nihilistą. Coś w rodzaju twojego negatywu.

— Dobrze. Ale wciąż nie widzę konieczności spalania jego listów.

—■ Powtarzam, że zrobiłam to dlatego, że mnie deprimowały.

— Przecież mogłaś je przechowywać i nie czytać. To dowodzi, że je czytałaś często, zanim spaliłaś. A jeśli wracałaś do nich i czytałaś, musiało być w nich coś atrakcyjnego.

— Nie powiedziałam, że był nieatrakcyjny.

— Powiedziałas jednak, że to nie był twój typ.

— Mój Boże! Śmierć również nie jest moim typem, a jednak często mnie pociąga. Ryszard miał w sobie coś tak przyciągającego jak śmierć albo nicość. Uważam jednak, że człowiek nie powinien poddawać się biernie takim uczuciom. Chyba dlatego go nie kochałam. Dlatego spaliłam listy. Gdy umarł, postanowiłam zniszczyć wszystko, co przedłużało jego egzystencję.

Ogarnęło ją przygnębienie i nie udało mi się już wyciągnąć z niej ani słowa o Ryszardzie. Właściwie jednak to nie on mnie tak męczył, gdyż ostatecznie dowiedziałem się o nim dość dużo. Męczyli mnie raczej ci wszyscy nieznajomi, te cienie, o których nigdy nie mówiła, a które jednak widziałem i czułem, jak poruszają się w jej życiu. Najgorsze rzeczy w Marii wyobrażałem sobie właśnie w związku z, tymi anonimowymi cieniami. Dręczyło mnie, i dzisiaj jeszcze mnie dręczy, słowo, które wymknęło się z jej ust w pewnej chwili zbliżenia fizycznego.

Ze wszystkich owych złożonych przesłuchań szczególnie jedno rzuciło przerażające światło na Marię i jej miłość.

XIX Naturalnie, ponieważ wyszła za mąż za Allenda, logiczne było przypuszczenie, że kiedyś musiała go kochać. Przyznam się, że problem ten, który mógłbym nazwać „problemem Allenda”, był jednym z tych, które mnie najbardziej prześladowały. Wiele było w nim tajemnic, które chciałem wyjaśnić, 53

przede wszystkim, zaś dwie. czy kiedykolwiek go kochała? czy go kocha w dalszym ciągu? Pytania te pociągały za sobą inne. Jeżeli nie kochała go, więc kogo kochała? Mnie"? Huntera? Może któregoś z tych tajemniczych rozmówców telefonicznych? A może kochała wielu naraz, każdego na swój sposób, jak to się zdarza niektórym mężczyznom? Albo po prostu n i e k o c h a ł a nikogo, a każdemu z nas, nieszczęśników, mówiła, że jest jedynym, wszyscy zaś inni to tylko zwykłe cienie, z którymi łączy ją powierzchowne, formalne stosunki?

Pewnego dnia postanowiłem wyjaśnić „problem Allenda”. Zacząłem od pytania, dlaczego wyszła za niego za mąż.

— Kochałam go — odpowiedziała.

— A więc teraz go już nie kochasz?

■— Nie powiedziałam, że przestałam go kochać ■— odrzekła.

— Powiedziałaś: „Kochałam go”, nie zaś: „Kocham go”.

— Zawsze czepiasz się słów i wypaczasz wszystko do przesady — zaprotestowała Maria. — Jeżeli powiedziałam, że wyszłam za niego, ponieważ go kochałam, to wcale nie oznacza, że go obecnie nie kocham.

*— Aha! A więc go kochasz — wtrąciłem szybko, jakbym chciał ją przyłapać na zaprzeczeniu tego, co mi oświadczyła poprzednio.

Zamilkła, przygnębiona.

— Dlaczego nie odpowiadasz? — spytałem.

— Uważam to za bezcelowe. Ten rodzaj dialogu prowadziliśmy już nieraz, w identycznej formie.

— Nie, tym razem to nie jest to samo. Zapytałem, czy kochasz Allenda. Odpowiedziałaś, że tak. Przy innej okazji, w porcie, pamiętam, powiedziałaś mi, że jestem pierwszym mężczyzną, którego pokochałaś naprawdę.

Maria znów zamilkła. Drażniło mnie nie tylko to, że sama sobie przeczyła, lecz również i to, że tak trudno było z niej wydobyć jakiegokolwiek wyznanie.

— Cóż ty na to? — zapytałem znowu.

— Dużo jest sposobów kochania — odpowiedziała tonem znużonym. — Rozumiesz chyba, że obecnie już nie mogę kochać Allenda tak jak przed laty, w ten sam sposób.

— W jaki sposób?
— Jak to w jaki sposób? Wiesz, co chcę przez to powiedzieć.
— Nie wiem.
— Mówiłam ci już wiele razy.
— Mówiłaś, ale nigdy nie wytłumaczyłaś.
— „Nie wytłumaczyłaś!” — zawołała z goryczą. —
Sam zawsze twierdzisz, że jest dużo rzeczy, których nie sposób wytłumaczyć, a teraz chcesz, żebym ci wytłumaczyła coś tak skomplikowanego. Tysiąc razy mówiłam ci, że Allende jest moim wspaniałym przyjacielem, że kocham go jak brata, opiekuję się nim, podziwiam spokój jego ducha, w czym pod każdym względem mnie przewyższa, że wobec niego czuję się pożałowania godną winowajczynią. Jak więc możesz sądzić, że go nie kocham?
— Nie ja powiedziałem, że go nie kochasz. Sama przed chwilą przyznałaś się, że obecnie nie jest już tak jak wtedy, gdyście się pobrali. Zmuszony jestem wyciągnąć z tego wniosek, że wówczas kochałaś go tak, jak teraz powiadasz, że mnie kochasz. Zresztą kilka dni temu w porcie powiedziałaś mi, że jestem pierwszym mężczyzną, którego pokochałaś naprawdę.
Maria spojrzała na mnie smutno.
—• Dobrze, zostawmy tę sprzeczność — kontynuowałam — i wróćmy do Allenda. Powiadasz, że kochasz go jak brata. Teraz chcę, żebyś mi odpowiedziała na jedno pytanie: miewasz z nim stosunki fizyczne?
Spojrzała na mnie z jeszcze większym żalem. Przez chwilę milczała, po czym zapytała zboląym głosem:
— Czy koniecznie muszę i na to odpowiedzieć?
— Tak, to jest absolutnie konieczne — rzekłam twardo.
— Wydaje mi się straszne, że mnie indagujesz w ten sposób.
— To bardzo proste: musisz mi powiedzieć, tak czy nie.
— Odpowiedź nie jest wcale taka prosta: można mieć i nie mieć.
— Bardzo dobrze — zakonkludowałam chłodno — chcesz przez to powiedzieć, że tak?
— Niech będzie, tak.
— A więc go pożadasz.
Stwierdziłem to, patrząc badawczo w jej oczy, wy-

powiedziałem te słowa w złej intencji: były najlepszym sposobem wyciągnięcia szeregu wniosków. Nie powiem, bym wierzył, że go pożąda naprawdę (choć i to nie było wykluczone, biorąc pod uwagę temperament Marii), chciałem po prostu zorientować się w tej jej „braterskiej miłości”. Maria, tak jak przypuszczałem, zwlekała z odpowiedzią. Wreszcie rzekła:

— ■ Powiedziałam, że mam z nim stosunki, nie zaś że go pożądam.

— Wspaniale! — zawołałem triumfująco. — To znaczy, że miewasz z nim stosunki nie pożądam go, jedynie utrzymując go w przekonaniu, że go pożądasz!

Maria oniemiała. Po jej policzkach spływały ciche łzy. Wzrok lśnił jak potłuczone szkło.

— Tego nie powiedziałam — wyszeptała powoli.

— A przecież to jest jasne — mówiłem dalej nie-litościwie. — Gdybyś okazała, że nic nie czujesz, że nie pożądasz go, że zbliżenie fizyczne jest dla ciebie poświęceniem w zamian za jego miłość, że jest wyrazem jedynie szacunku dla jego supremacji duchowej i tak dalej, Allende nigdy by więcej nie poszedł z tobą do łóżka. Innymi słowy, fakt, że w dalszym ciągu to robi, jest dowodem, że jesteś zdolna oszukiwać go nie tylko co do twych uczuć, lecz również w sferze doznań zmysłowych. Że doskonale potrafisz udawać odczuwanie rozkoszy.

Maria ze wzrokiem wbitym w ziemię cicho płakała.

— Jesteś niewiarygodnie okrutny — ■ zdołała wreszcie powiedzieć.

— Odrzućmy rozważania formalne. Mnie interesuje sedno sprawy. Widzę, że jesteś zdolna oszukiwać swego męża, i to przez szereg lat, nie tylko co do twych uczuć, lecz również co do twych doznań zmysłowych. Wniosek z tego potrafiłby wysnuć nawet sztubak: skąd mogę mieć pewność, że mnie również nie oszukujesz? Teraz rozumiesz, dlaczego niejednokrotnie pytałem cię, czy twoje doznania rozkoszy są autentyczne. Zawsze pamiętam, jak ojciec Desdemony powiedział do Otella, że kobieta, która oszukała ojca, zdolna jest oszukać innego mężczyznę. Nie mogę wybić sobie z głowy tej myśli: oszukujesz perfidnie i oszukiwałaś Allenda przez tyle lat.

W pewnej chwili zapragnąłem posunąć swoje okrucieństwo do ostatecznych granic. Mimo że czułem, iż to jest wulgarnie i głupie, dodałem:

— Oszukiwałaś ślepeca!...

XX Zanim to wypowiedziałem, już odczułem skrucę: zdałem sobie sprawę, że w podświadomości kierowała mną chęć doznania przewrotnej satysfakcji, wobec której moje drugie ja, to czyste i czułe, już przechylało się na stronę Marii. Nastąpiło to jeszcze przedtem, nim wymówiłem te głupie i bezsensowne słowa. (Doprawdy, cóż mogłem przez to osiągnąć?) Tak więc, ledwie zacząłem je wypowiadać, moje lepsze ja słuchało ich z przerażeniem i zdumieniem, że to drugie ja je wypowiada. Gdy dokończyłem (bo mimo wszystko dokończyłem wypowiedzi), lepsze ja objęło władzę nade mną i nakazało mi prosić o przebaczenie, ukorzyć się przed Marią, przyznać się do głupoty i okrucieństwa. Jakże często to przeklęte rozdwojenie jaźni było przyczyną strasznych czynów! Podczas gdy jedna moja połowa prowadzi mnie do czynów wzniosłych i pięknych, druga odsłania fałsz, hipokryzję i kłamliwą szlachetność; podczas gdy jedna każe mi znieważać człowieka, ta druga lituje się nad nim i oskarża mnie samego o to, co chciałem wytknąć innym; podczas gdy jedna pokazuje mi piękność świata, druga odsłania jego brzydotę i śmieszność wszelkiego uczucia szczęścia. Zresztą za późno już było zagoić ranę zadaną duszy Marii (o tym starało się mnie przekonać złośliwie moje drugie ja, zaczajone gdzieś niby w brudnej, nieczystej norze), bezapelacyjnie za późno. Maria bezszelestnie wstała, podczas gdy wzrok jej (jak ja go znałem!) podnosił ten zwodzony most, który nieraz łączył nasze dusze: był to wzrok twardy i nieprzenikniony. Nagle uświadomiłem sobie, że most ten podniósł się na zawsze, więc zrozpaczony zadałem sobie natychmiast największe upokorzenie, całowałem jej nogi. Osiągnąłem jedynie tyle, że spojrzała na mnie z politowaniem i jej wzrok na jedną chwilkę nieco zmiękł. Z litości, wyłącznie z litości.

Wychodząc zapewniła mnie, że nie ma do mnie urazy, ja zaś zapadłem w otchłań zupełnej utraty woli. Nie wiedząc, co począć, stałem pośrodku pracowni, że 57

spojrzeniem utkwionym w jeden punkt. Nagle pojąłem, że muszę coś zrobić.

Wybiegłem na ulicę, lecz Marii już nigdzie nie było widać. Zatrzymałem taksówkę i popędziłem pod jej dom przypuszczając, że nie poszła prosto do domu, a więc pozostawała nadzieja, że zobaczę ją przy wejściu. Na próżno czekałem przeszło godzinę. Zatelefonowałem z kawiarni, powiedziano mi, że nie ma jej w domu od godziny czwartej (kiedy wyszła do mnie). Czekałem jeszcze kilka godzin, po czym znów zatelefonowałem, powiedziano mi, że Maria nie wróci do późnego wieczora.

Zrozpaczony, zacząłem jej szukać wszędzie, przede wszystkim tam, gdzieśmy się zwykle spotykali: Recoleta, Avenide Centenario, plac Francuski, Port Nowy. Nigdzie jej jednak nie spotkałem. Pomyślałem więc, że chodzi gdzie indziej, unikając miejsc, które by jej mogły przypominać nasze najpiękniejsze chwile. Znów pobiegłem pod jej dom, było bardzo późno, więc najprawdopodobniej już wróciła. Zatelefonowałem: rzeczywiście, była w domu, lecz powiedziano mi, że leży w łóżku i nie może podejść do telefonu. Oczywiście podałem swoje nazwisko.

Coś się między nami zerwało.

XXI Wróciłem do siebie z uczuciem absolutnej samotności.

Na ogół uczucie samotności w świecie łączy się we mnie z poczuciem wyższości: pogardzam ludźmi, widzę, że są brudni, szkaradni, chciwi, gruboskórni, podli. Moja samotność nie przeraża mnie, jest niemal olimpijska.

Ale wówczas, jak i w innych podobnych sytuacjach, byłem samotny na skutek moich najgorszych właściwości, moich niskich czynów. W takich wypadkach odczuwam świat jako coś obmierzłego, lecz jednocześnie rozumiem, że ja jestem jego częścią. Wtedy ogarnia mnie furia samozniszczenia, rodzi się pokusa samobójstwa, upijam się, szukam prostytutek. Odczuwam również pewną satysfakcję widząc własną mierotę i przekonując się, że nie jestem lepszy od otaczających mnie nieczystych potworów.

Tego wieczoru upiłem się w portowej knajpie. 58

Byłem już zupełnie pijany, gdy ogarnął mnie taki wstręt do kobiety, która była w moim towarzystwie, oraz do marynarzy, że wybiegłem z lokalu. Ulicą Vi-amonte doszedłem do molo. Usiadłem na ławce i zacząłem płakać. Brudna woda w dole kusiła mnie: po co cierpieć? Samobójstwo pociąga łatwością samozniszczenia; w ciągu sekundy cały absurdalny wszech- * świat rozpada się jak gigantyczne widmo, jak gdyby wszystkie te drapacze chmur, statki, zbiorniki, więzienia nie były niczym więcej jak tylko sennym widziałem.

W świetle takiego rozumowania życie wydaje się olbrzymim koszmarem, z którego można się wyzwolić jedynie przez śmierć będącą niejako przebudzeniem. Tylko przebudzeniem do czego? Ten brak odwagi, by rzucić się w absolutną i wieczną nicość, powstrzymał mnie w moich projektach samobójczych. Mimo wszystko człowiek jest tak mocno przywiązany do tego świata, że ostatecznie woli znosić niedoskonałość istnienia i ból, jakiego mu ono przysparza, niż zdecydować się na zniszczenie całej tej koszarnej rzeczywistości aktem własnej woli. W rezultacie gdy dochodzimy do brzegu rozpaczliwej poprzedzającej samobójstwo, po zinventaryzowaniu wszystkiego zła, które stało się już nie do zniesienia, każde, choćby najmniejsze, źdźbło dobra nabiera w naszych oczach nieproporcjonalnie wyolbrzymionej wartości i chwytamy się go kurczowo, tak jak spadający w przepaść chwytają się każdej trawki, byle uniknąć stoczenia się w otchłań.

Świtało już prawie, gdy postanowiłem wrócić do domu. Nie wiem jednak, jak to się stało, że nie zważając na tę decyzję raptem znalazłem się przed domem Allenda. Najdziwniejsze było to, że nie pamiętam faktów pośrednich. Widzę siebie siedzącego na molo, przyglądającego się brudnej wodzie i myślącego: „Teraz muszę iść spać”, a potem nagle stoję przed domem Allenda i obserwuję piąte piętro. W jakim celu to robiłem? Niedorzeczne byłoby łączyć się, że ją ujrzę... Stałem tak dłuższą chwilę, aż wpadłem na pomysł: doszedłem do alei, poszukałem kawiarni i zatelefonowałem. Zrobiłem to bezmyślnie, nie zastanawiając się, co powiem na usprawiedliwienie, że telefonuję o tak późnej porze. Po pięciu co najmniej minutach 59

ktoś podniósł słuchawkę; wówczas coś mnie jakby sparaliżowało i nie mogłem wydobyć głosu. Zawiesiłem słuchawkę i przestraszony wyszedłem z kawiarni. Spacerowałem bez celu. Nagle znów znalazłem się w kawiarni. By nie wywołać niczyjego zdziwienia, poprosiłem o wódkę i podczas gdy ją piłem, postanowiłem nieodwołalnie wracać do domu.

W końcu znalazłem się w pracowni. Rzuciłem się w ubraniu na łóżko i zasnąłem.

XXII Obudziłem się krzycząc (raczej usiłując krzyczeć) i znalazłem się pośrodku pracowni. Śniło mi się, że mieliśmy iść w kilka osób do pewnego jegomościa, z którym byliśmy umówieni. Doszedłem do domu, który na zewnątrz niczym się nie różnił od innych, i wszedłem. Wówczas poczułem, że nie był to dom jak inne. Gospodarz przywitał mnie i rzekł: „Czekałem na pana”. Odniosłem wrażenie, że wpadłem w zasadzkę, i chciałem uciekać; ciało jednak odmówiło mi posłuszeństwa. Zrezygnowałem i postanowiłem uczestniczyć w tym, co tu zajdzie, jakby to miało być coś, co nie dotyczy mojej osoby. Jegomość ów zaczął przeistaczać mnie w ptaka o rozmiarach człowieka. Zaczęło się od nóg: widziałem, jak nabierały kształtu nóg kogucich czy czegoś w tym rodzaju, po czym stopniowo następowała transformacja całego mojego ciała, do głowy włącznie, tak jak wzbiera woda w basenie. Całą nadzieję pokładałem teraz w przyjaciółach, którzy nie wiadomo dlaczego nie nadchodzili. Gdy wreszcie przyszli, stało się coś przerażającego: nie zauważyli wcale mojej przemiany. Odnosili się do mnie jak zawsze, co dowodziło, że wyglądam normalnie. Myśląc, że mag ich zaczarował, by widzieli mnie jako osobę normalną, chciałem opowiedzieć im, co się ze mną stało. Miałem zamiar zrobić to spokojnie, by nie pogorszyć sytuacji, gdyż mag mógłby uczynić coś jeszcze gorszego i straszniejszego. Jednakże zacząłem wszystko opowiadać krzycząc. Wtenczas zaobserwowałem dwa dziwne fakty: zdanie, które chciałem wypowiedzieć, wydobyło się przemienione w ostry krzyk ptaka, krzyk rozpaczliwy, niesamowity, przez to pewnie, co zawierał w sobie ludzkiego. Co najgorsze, moi przyjaciele nie słyszeli mego piania, przyjmowali to jako głos normalny, wcale nie okazu-

jąc zdziwienia. Przerażony, zamilkłem. Gospodarz domu spojrział wówczas na mnie z sarkastycznym błyskiem w oczach, co tylko ja zauważyłem. Wtedy zrozumiałem, że n i k t i n i g d y nie będzie wiedział, że zostałem zamieniony w ptaka. Byłem zgubiony na zawsze i tajemnica pójdzie wraz ze mną do grobu.

XXIII J^{ak} 3^{UZ} wspomniałem, gdy się obudziłem, stałem pośrodku pokoju, cały zlany zimnym potem.

Spojrzałem na zegarek: wskazywał godzinę dziesiątą. Podbiegłem do telefonu. Powiedziano mi, że Maria wyjechała do estancji. Byłem zdruzgotany. Padłem na łóżko i dłuższy czas leżałem, nie mogąc powziąć żadnej decyzji, aż postanowiłem napisać list.

Nie pamiętam obecnie dokładnie wszystkiego, co napisałem, wiem tylko, że był to list długi, w którym prosiłem Marię o przebaczenie, przyznając, że jestem nikczemny, niewart jej uczucia, że zasłużyłem na życie i śmierć w zupełnej samotności.

Minęło kilka długich i męczących dni, lecz odpowiedzi nie było. Wysłałem drugi list, potem trzeci i czwarty, w każdym mówiąc to samo, tylko z coraz bardziej narastającą rozpaczą. W ostatnim liście opisałem wszystko, co przeżyłem po naszym rozstaniu. Nie pomiąłem szczegółów owej pijackiej nocy, jak również bez wahania przyznałem się do myśli o samobójstwie. Zawstydzало mnie użycie tej broni, lecz użyłem jej. Gdy opisywałem swoje upodlenie i rozpacz, jaką przeżyłem tamtej nocy przed jej domem na ulicy Posadas, rozczuliłem się nad samym sobą, a nawet się rozpłakałem. Łudziłem się, że czytając list Maria również coś podobnego przeżyje. Nadzieja ta* uspokoiła mnie znacznie. Gdy wysłałem list polecony, byłem w nastroju prawie optymistycznym.

Wkrótce nadeszła odpowiedź od Marii, pełna tkliwości. Czułem, że coś z pierwszych dni naszej miłości wraca, jeżeli nie z całą swą początkową przejrzystością, to przynajmniej z niektórymi istotnymi cechami, tak jak król zawsze pozostanie królem, mimo że niewierni i perfidni poddani chwilowo go zdradzili i zmieszali z błotem.

Maria wyraziła życzenie, bym przyjechał do estancji. Jak szalony, szybko spakowałem walizkę, przygotowałem kasetę malarską i popędziłem na dworzec Konstytucji.

XXIV Stacja Allende to jedna z tych stacyjek wiejskich, gdzie jest kilku rolników, kierownik z podwiniętymi rękawami koszuli, jakiś dwukołowy wózek i kilka blaszanych baniek na mleko.

Rozdrażniły mnie dwa fakty: nieobecność Marii oraz jakiś umundurowany szofer. Ledwie wysiadłem z pociągu, facet ten zbliżył się do mnie i zapytał:

— Czy pan Castel?

— Nie — odpowiedziałem spokojnie. — Nie jestem panem Castelem.

Natychmiast jednak pomyślałem, że niełatwo będzie czekać na pociąg powrotny: może to potrwać pół dnia albo i więcej. Postanowiłem więc przyznać się do tożsamości.

— Tak — dodałem niemal natychmiast. — To ja. Szofer spojrzał na mnie zdumiony.

— Proszę — powiedziałem oddając mu walizkę i kasetę.

Doszliśmy do auta.

— Pani jest trochę chora — wytłumaczył mi szofer.

— „Trochę chora” — szepnąłem złośliwie. Jakże znałem te jej wybiegi! Odrodziła się we mnie chęć natychmiastowego powrotu do Buenos Aires, lecz teraz, nie licząc czekania na pociąg, trzeba by było jeszcze przekonać szofera, że naprawdę nie jestem Castelem, w gorszym zaś wypadku wytłumaczyć mu, że chociaż jestem Castelem, nie jestem jednak wariatem. W obu wypadkach nastęczałoby to wielkie trudności. Pozwoliłem się więc zawieźć do estancji. Zresztą co bym osiągnął wracając? Powtórzyłaby się sytuacja poprzednia: samotna wściekłość bez możliwości wyładowania jej na Marii, niesamowite cierpienie z powodu jej braku, niemożność malowania, i to wszystko dla sprawienia wątpliwego c i e r p i e n i a Marii, bo nigdy nie miałem okazji przekonać się, czy ona rzeczywiście cierpi wskutek takich represji.

Hunter był trochę podobny do Allenda: wysoki, śniady, raczej szczupły, wzrok miał nieszczerzy i wy-

mijający. „Ten człowiek jest pozbawionym woli hipokrytą” — pomyślałem. To mnie nieco uspokoiło (przynajmniej tak mi się wtedy zdawało).

Przywitał mnie z ironiczną kurtuazją i przedstawił jakiejś kobiecie chudej, palącej papierosa w długiej cygarniczce. Mówiła akcentem paryskim, zwała się Mimi Allende, była złośliwa i krótkowzroczna.

Ale gdzie, u diabła, schowała się Maria? A więc rzeczywiście była chora? To mnie tak zaafierowało, że prawie zapomniałem, iż jestem w towarzystwie tych dwojga. Oprzytomniawszy, nagle odwróciłem się do Huntera, by go śledzić. To jest metoda, która daje wspaniałe rezultaty z tego rodzaju osobnikami.

Hunter zaś badał mnie swym ironicznym, co chwila zmieniającym się spojrzeniem.

— Maria jest trochę chora, położyła się. Sądzę jednak, że niedługo zejdzie.

Przeklinałem siebie za roztargnienie: z tego rodzaju ludźmi należy się mieć ciągle na baczności. Poza tym zauważyłem, że on nieustannie usiłował demonstrować swój sposób myślenia, swoje żarty, reakcje, uczucia; wszystko to przyda mi się w poznawaniu Marii. Zmusiłem się więc do słuchania i patrzania z możliwie największym spokojem ducha. Znów ucieczyłem się na widok hipokryzji Huntera i chudej kobiety. Na ogół jednak byłem przygnębiony.

— ■ A więc pan jest malarzem? — powiedziała przyglądając mi się półprzymkniętymi oczami, tak jak się patrzy, gdy wieje w oczy piaszczysty wiatr. Ten grymas, z pewnością przeznaczony na to, by zmniejszyć stopień krótkowzroczności bez uciekania się do okularów (gdyż w okularach wyglądałaby brzydziej), jeszcze bardziej potęgował wrażenie, że jest bezczelną hipokrytką.

■ — Tak, proszę pani — odrzekłem wściekły. Byłem przekonany, że jest niezamężna*.

— ■ Castel jest wspaniałym artystą — wtrącił Hunter.

Po czym uzupełnił swój sąd całą serią pochwalnych idiotyzmów, powtarzając bzdury, jakie wypisywali krytycy z okazji moich wystaw: „solidny”

* W Argentynie nie mówi się nigdy „pani” (señora), gdy się me wie czy kobieta jest zamężna. —

i tak dalej. Powtarzając te ogólne wykazał nawet dużo poczucia humoru. Mimi znów zaczęła mnie obserwować swymi półprzymkniętymi oczyma, co mnie zdenerwowało, bo zaraz pomyślałem, co też ona będzie o mnie wygadywać. Jeszcze jej dobrze nie znałem.

— Jakich malarzy pan lubi? — zapytała jak profesor na egzaminie.

Nie, teraz sobie przypominam, że zadała mi to pytanie później, przy herbacie. Zaraz po przedstawieniu mnie tej kobiecie, siedzącej w ogrodzie przy stole zastawionym do herbaty, Hunter zaprowadził mnie do domu, by pokazać mi pokój przeznaczony dla mnie (dom był dwupiętrowy); objaśnił przy tym, że dom, nie licząc nieznacznych poprawek, jest zupełnie taki sam, jak go zbudował dziadek. „A co mnie to wszystko, do diabła, obchodzi” — pomyślałem. Facet z niewiadomych mi powodów jak najwyraźniej wysiłał się, by w moich oczach uchodzić za prostego i szczerego. Gdy mówił coś o zegarze słonecznym czy czymś innym mającym związek ze słońcem, pomyślałem, że w którymś z tych pokoi na górze jest w tej chwili Maria. Hunter jakby wyczytał coś z mojej twarzy, powiedział bowiem:

— Mamy tu dużo pokoi. Dom jest bardzo wygodny, chociaż zbudowany trochę zabawnie.

Przypomniało mi się, że Hunter jest architektem. Ciekaw byłem, co rozumiał przez budowę niezabawną.

—• To jest dawny pokój sypialny dziadka, który obecnie zajmuję ja ■—• objaśnił wskazując na środkowe drzwi na wprost schodów. Po czym otworzył drzwi przyległego pokoju. — A to jest pański pokój — dodał.

Zostawił mnie samego, zaznaczając, że będzie czekał na dole z herbatą. Ledwie zostałem sam, serce zaczęło mi bić gwałtownie, gdyż pomyślałem, że Maria znajduje się w którymś z tych pokoi, może nawet tuż obok. Podszedłem do jednej ze ścian (nie tej, która graniczyła z pokojem Huntera) i kilka razy delikatnie w nią uderzyłem. Czekałem na odpowiedź, lecz panowała cisza. Wyszedłem na korytarz, obejrzałem się, czy nikogo nie ma, zbliżyłem się do drzwi, w podnieceniu podniosłem rękę, by zapukać. Ręka opadła mi i prawie biegiem wróciłem do swego pokoju, po czym postanowiłem zejść na dół, do ogrodu. Byłem zdezorientowany. 04

XXV W pewnym momencie przy stole Mimi* zapytała mnie, jakich malarzy lubię. Bezmyślnie wymieniałem kilku: Van Gogh, El Greco. Spojrzała na mnie ironicznie i rzekła, jakby do siebie:

— *Tiens*. — Po czym dodała: — Nie lubię ludzi zbyt wielkich. Powiem ci — mówiła zwracając się do Huntera ■—• że takie typy jak Michał Anioł czy El Greco zawadzają mi. Wielkość i dramatyczność są takie agresywne. Nie sądzisz, że to jest coś jak złe wychowanie? Moim zdaniem, artysta powinien tak tworzyć, by nie prowokować zwracania na siebie uwagi. Przeszkadza mi nadmiar dramatyczności i oryginalności. Być oryginalnym znaczy podkreślać przeciętność innych, co, moim zdaniem, nie jest w dobrym guście. Gdybym była malarką lub pisarką, tworzyłabym tak, by nie zwracać na siebie uwagi.

— W to nie wątpię — zauważył Hunter złośliwie, po czym dodał: — Jestem pewien, że nie chciałabyś, na przykład, napisać *Braci Karamazow*.

— *Quelle horreur!* — zawołała Mimi, podnosząc wzrok ku niebu, po czym uzupełniła: — Wszyscy zdają się być *nouveaux-riches* świadomości, łącznie z tym *mome*, jak on się nazywał... *Zozime*.

— ■ Dlaczego nie mówisz *Zózimo*, Mimi? Chyba że zdecydowałaś się wymawiać po rosyjsku.

— Już zaczynasz z tymi swymi purystycznymi głupstwami. Przecież wiesz, że imiona rosyjskie można wymawiać w rozmaity sposób. Jak to mówił bohater jednej *farce*: „*Tolstói* czy *Tolstud*, w dwojaki sposób można i powinno się mówić”.

— To dlatego — rzekł Hunter — w tłumaczeniu hiszpańskim (wprost z oryginału rosyjskiego, jak pisze wydawca), które obecnie czytam, pisząc *Tolstói* kładą dierezę nad „i”.

— Ach, ja się tymi rzeczami zachwycam! — wtrąciła wesoło Mimi. — Czytałam kiedyś tłumaczenie francuskie *Tchekhova*, gdzie napotykało się na przykład taki wyraz, jak *ichvochnik* (czy coś w tym stylu), i odsyłacz. U dołu strony dowiadywałeś się,

* W postaci Mimi Allende autor ośmiesza pewien typ osot>y z wyższych warstw społecznych, często spotykany w Argentynie, przesiąknięty kulturą francuską i pogardzający wszystkim, co narodowe.

że to oznacza, dajmy na to, *porteur*. Nie rozumiem, dlaczego nie piszą po rosyjsku również takich wyrazów, jak *malgre* lub *avant*. Nieprawdaż? Przyznam się, że są dla mnie zabawne te trudności tłumaczy, szczególnie powieści rosyjskich. A pan lubi powieści rosyjskie?

To ostatnie pytanie skierowała niespodziewanie do mnie; nie czekała jednak na odpowiedź i mówiła dalej do Huntera:

— Wiesz, nigdy nie mogę doczytać do końca powieści rosyjskich. Są takie ciężkie... Występują w nich tysiące typów, a w końcu okazuje się, że jest ich zaledwie czterech czy pięciu. Ledwo zdążysz zorientować się, że istnieje osobnik imieniem *Alexandre*, niedługo okazuje się, że się nazywa *Sacha*, potem *Sachka*, potem *Sachenka*, a wreszcie wprost niesamowicie: *Alexandre Alexandrovitch Bunine*, nieco zaś dalej znów tylko *Alexandre Alexandrovitch*. Coś strasznego: każdy bohater powieści zdaje się być całą rodziną. Chyba nie zaprzeczysz, że to jest nużące także dla ciebie.

■— Powtarzam raz jeszcze, Mimi, że nie ma powodu, byś wymawiała imiona rosyjskie po francusku. Dlaczego zamiast *Tchekhov* nie mówisz *Chejov*, co jest bliższe oryginału?

— Złituj się — błagała Mimi ■— nie bądź taki nudny, Ludwiczku. Kiedy się nauczysz nie popisywać swoją wiedzą? Jesteś taki męczący, taki *epuisant*... prawda? ■ zakończyła, nagle zwracając się do mnie.

— Tak — powiedziałem nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię.

Hunter spojrział na mnie ironicznie.

Byłem strasznie przygnębiony. A mówią, że jestem niecierpliwy. Jeszcze dziś podziwiam siebie, że zdolny byłem uważnie wysłuchać tylu idiotyzmów, a przede wszystkim, że potrafiłem wszystko zapamiętać tak dokładnie. Słuchając ich, usiłowałem pocieszyć siebie i rozpogodzić taką refleksją: „Ci ludzie są lekomyślni, powierzchowni. Tacy ludzie mogą w Marii wywołać wyłącznie uczucie obcości i osamotnienia: tacy ludzie nie mogą być rywalami”. Nie potrafiłem jednak zmusić się do wesołości. Czuję, jak gdzieś w głębi draży mnie fala smutku. Nieumiejętność zdania sobie sprawy z przyczyn tego smutku 66

przyprawiała mnie o zły humor i zdenerwowanie. Staralem się uspokoić, postanawiając przemyśleć to wszystko później, w samotności. Może przyczyną mojego smutku była nieobecność Marii? Ale jej nieobecność raczej irytowała mnie, niż zasmucała. To n i e b y ł o t o.

Teraz mówili o powieściach kryminalnych; nagle usłyszałem, jak Minii zapytała Huntera, czy czytał ostatnią powieść z cyklu *Siódmy krąg*.

— Po co? — odrzekł Hunter. ■— Wszystkie powieści kryminalne są jednakowe. Jedna na rok jeszcze ujdzie, lecz jedna na tydzień dowodzi braku wyobraźni u czytelnika.

Mimi zachnęła się. Raczej udawała obrażoną. — ■ Nie pleć głupstw — rzekła. — To jest jedyny rodzaj powieści, jakie mogę obecnie czytać. Przyznam się nawet, że zachwycają mnie. Wszystko tam takie skomplikowane, detektywi są tacy świetni, wszystko wiedzą, wszystko znają: sztukę epoki Ming, grafologię, teorię Einsteina, *base-ball*, archeologię, chiromancję, ekonomię polityczną, statystykę hodowli królików w Indiach. A przy tym są tacy nieomylni, że aż miło. Nieprawdaż? — zapytała zwracając się znów do mnie. Zaskoczyła mnie tak niespodziewanie, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Tak, to prawda — rzekłem, aby powiedzieć cokolwiek.

Hunter znów spojrział na mnie ironicznie.

— Powiem Marcinkowi, że gardzisz powieściami kryminalnymi — dodała Mimi patrząc groźnie na Huntera.

— Nie powiedziałem, że gardzę; powiedziałem tylko, że wszystkie wydają mi się jednakowe.

— W każdym razie powiem Marcinkowi. Całe szczęście, że nie wszyscy są takimi pedantami. Panu Castelowi, na przykład, podobają się, prawda?

— Mnie? — zapytałem przerażony.

— Oczywiście — mówiła Mimi nie czekając na moją odpowiedź i znów zwracając się do Huntera — gdyby wszyscy byli tacy *savants* jak ty, życie stałoby się niemożliwe. Jestem pewna, że masz całą teorię na temat powieści kryminalnej.

— Tak jest — potwierdził Hunter z uśmiechem.

— A nie mówiłam? — rzekła Mimi poważnie, 67

zwracając się do mnie, jakby mnie brała za świadka. — Tak, ja go przecież dobrze znam. Na pewno umiera z chęci wyłożenia tej teorii.

Hunter rzeczywiście nie dał się długo prosić.

— Moja teoria — mówił — jest następująca: powieść kryminalna w wieku dwudziestym jest tym, czym była powieść rycerska w epoce Cervantesa. Więcej nawet; myślę, że można by stworzyć coś w rodzaju nowego *Don Kichota*: satyrę na powieść kryminalną. Proszę sobie wyobrazić jegomościa, który całe życie *czytał* tylko powieści kryminalne i zwariował na myśl, że świat funkcjonuje rzeczywiście tak, jak go przedstawia w swych powieściach Nicolas Blake lub Ellery Queen, Wyobraźcie sobie, że ten biedak wyrusza w świat, by wykrywać przestępstwa, i zachowuje się w życiu realnym jak detektyw w tych powieściach. Mam wrażenie, że wyszłoby z tego coś nadzwyczaj zabawnego, tragicznego, symbolicznego, przepięknego i wspaniałego.

— Dlaczego więc tego nie zrobisz? — zapytała drwiąco Mimi.

— ■ Z dwóch powodów: po pierwsze, nie jestem Cervantesem; po drugie, jestem leniuchem.

— Zdaje mi się, że wystarczy pierwszy powód — zawyrokowała Mimi, po czym, na nieszczęście, zwróciła się do mnie: — Ten człowiek — rzekła wskazując Huntera swą długą cygarniczką — występuje przeciwko powieściom kryminalnym, bo nie jest zdolny napisać żadnej, choćby najnędniejszej.

— Daj mi papierosa — rzekł Hunter zwracając się do kuzynki, po czym dodał: — Kiedy przestaniesz być tak przesadna? Po pierwsze, nie występuję przeciwko powieściom kryminalnym; powiedziałem jedynie, że można by napisać coś w rodzaju *Don Kichota* naszej epoki. Po drugie, mylisz się sądząc, że nie mam żadnych zdolności w tym kierunku. Nie tak dawno właśnie powstał w mej głowie pomysł takiej powieści.

— *Sans blague!* — ograniczyła się do powiedzenia Mimi.

— Ależ naprawdę, zapewniam cię. Posłuchaj: pewien człowiek ma matkę, żonę i dziecko. Jednej nocy w zagadkowych okolicznościach ginie mu matka. Dochodzenia policyjne nie dają żadnych wyników, morderca jest nieuchwytny. Po pewnym czasie mordują 68

mu żonę; to samo. Wreszcie ginie chłopiec. Człowiek szaleje z rozpacz. Wszystkich bardzo kochał, szczególnie zaś syna. Zrozpaczony, postanawia prowadzić dochodzenie na własną rękę. Uzbrojony w utarte metody indukcyjne, dedukcyjne, analityczne, syntetyczne i tak dalej, których używają geniusze w powieściach kryminalnych, dochodzi do wniosku, że morderca ma dokonać czwartego zabójstwa w określonym dniu, o określonej godzinie, w określonym miejscu. W jego przekonaniu tym razem zamordowany ma być on sam. W przewidzianym dniu i godzinie idzie na miejsce, gdzie ma być dokor-ane czwarte morderstwo, i czeka na zabójcę. Niestety, ten się nie zjawia. Nasz bohater sprawdza swoje kalkulacje: może źle określił miejsce? Nie, miejsce w porządku. Może mylnie ustalił godzinę? Nie, godzina dobrze obliczona. Rezultat jest przerażający: morderca już powinien znaleźć się na miejscu. Innymi słowy, mordercą jest on sam, a poprzednich zabójstw dokonał w stanie zamuśnionej świadomości. Detektyw i morderca są jedną i tą samą osobą.

— Zbyt oryginalne jak na mój gust — zauważyła Minii. — A jak się skończyło? Powiedziałeś, że miało się dokonać czwarte morderstwo.

— Zakończenie jest jasne — rzekł Hunter ociągając się. — Człowiek popełnia samobójstwo. Pozostaje zagadką, czy zabija się na skutek wyrzutów sumienia, czy też on jako morderca zabija siebie jako detektywa, jak pospolity zbrodniarz. Nie podoba ci się?

— Wydaje się zabawne. Ale co innego jest tak sobie opowiadać, a co innego napisać powieść.

— Oczywiście — przytaknął Hunter.

Teraz Minii zaczęła mówić o jakimś chiromancie, którego poznała w Mar del Plata, i o pewnej kobiecie jasnowidzącej. Hunter przy tym zrobił żartobliwą uwagę i Mimi rozgniewała się.

— Wyobraź sobie, że to jest rzecz całkiem poważna — rzekła. — Jej mąż jest profesorem na wydziale inżynieryjnym.

Spierali się na temat telepatii, ja zaś byłem zrozpaczony, bo Maria wciąż nie ukazywała się. Gdy znów zwróciłem uwagę na ich dialog, mówili o ustawie dotyczącej peonów.

— Najbardziej oburzające w tym wszystkim jest 69

to — skandowała Mimi wywijając cygarniczką jak batutą — że ludzie nie chcą więcej pracować.

Pod koniec rozmowy przyszła mi nagle myśl, która rozproszyła mój niezrozumiały smutek: czułem, że Mimi wyczerpuje już swoje tematy, Maria zaś nie schodziła, aby nie uczestniczyć w bezsensownej rozmowie i nie słuchać głupich sądów (które na pewno dobrze już znała) Mimi i swego kuzyna. Teraz sobie przypominam, że ta moja intuicja nie była całkiem bezpodstawną, lecz opierała się na pewnych słowach szofera wypowiedzianych w drodze do estancji. Wspominał coś o jakiejś kuzynce pana domu, która przyjeżdża z Mar del Plata na herbatę. A więc wszystko było jasne: Maria, zdesperowana przybyciem tej kobiety, zamknęła się w swoim pokoju pod pozorem niedyspozycji, gdyż nie była w stanie znieść towarzystwa podobnych osób. Czując, że mój smutek pierzcha na skutek tego wniosku, zrozumiałem, co go spowodowało: po przybyciu do tego domu i przekonaniu się, że Hunter i Mimi są płytkimi hipokrytami, jedno moje j a ucieszyło się zauważywszy, że Hunter nie może być moim rywalem; natomiast moje głębsze j a pogrzyżyło się w smutku na myśl, że Maria należała do tego kręgu i że w pewnej mierze mogła posiadać cechy podobne.

XXVI Gdy wstaliśmy od stołu, by przespacerować się po parku, zobaczyłem zbliżającą się do nas Marię, co potwierdziło trafność moich przypuszczeń: czekała na ten moment, by się do nas przyłączyć, chcąc uniknąć absurdałnej konwersacji przy stole.

Zawsze gdy Maria zbliżała się do mnie w obecności innych osób, myślałem: „Między tym wspaniałym tworem a mną jest jakaś więź tajemna”, i analizując swoje uczucia utwierdzałem się w przekonaniu, że ona jest mi nieodzownie potrzebna (jak ktoś, kogo się spotyka na bezludnej wyspie); gdy jednak strach przed absolutną samotnością mijał, zamieniała się w swego rodzaju luksus, który napawał mnie dumą. W tej właśnie drugiej fazie naszych stosunków zaczęły piętrzyć się niezliczone trudności, podobnie jak ktoś, kto umiera z głodu, przyjmuje wszystko, co mu podadzą, lecz' potem, po zaspokojeniu pierwszego głodu, zaczyna 70

narzekać na braki i niedoskonałość pożywienia. W ostatnich latach widziałem wielu imigrantów przybywających ze skromnością ludzi, którzy uciekli z obozów koncentracyjnych, i wykonujących tutaj radośnie najpodlejsze prace. Dziwne jednak jest to, że człowiekowi nie wystarcza ucieczka od tortur i śmierci, by żyć i czuć się szczęśliwym. Gdy tylko odrodzi się w nim na nowo poczucie bezpieczeństwa, wówczas ambicja, zarozumiałość i próżność, które, zdawałoby się, znikły na zawsze, znów odżywają i wracają jak zwierzęta, które kiedyś, przestraszone, uciekły. Nawet w pewnym stopniu wszystko to odradza się z większą siłą z powodu uczucia zawstydzenia, że upadli tak nisko. Nic więc dziwnego, że w takich okolicznościach spotykamy się z niewdzięcznością.

Teraz gdy mogę spokojnie analizować swoje uczucia, myślę, że podobne zjawisko miało również miejsce w moich stosunkach z Marią, i czuję, że płacę niejako haracz za swoją głupotę, iż nie zadowolilem się tą częścią Marii, którą mnie uratowała (czasowo) od samotności. To uczucie zarozumiałości, rosnące pożądanie posiadania wyłącznego, musiało mi uwidocznić, że idę niewłaściwą drogą, powodowany próżnością i pychą.

Na widok zbliżającej się Marii cała moja zarozumiałość prysła, odżyło we mnie natomiast poczucie winy i zawstydzenia na wspomnienie odrażającej sceny w pracowni, gdy ją bezlitośnie i wulgarnie oskarżyłem o „oszukiwanie ślepeca”. Nogi się pode mną ugięły, twarz zastygła i zbladła. Co za pech, że po tym wszystkim spotykam ją w towarzystwie tych ludzi, nie mogę więc paść przed nią na kolana i błagać o przebaczenie: jedyny sposób, by się wyzbyć przerażenia i pogardy, jaką czułem sam dla siebie.

Maria jednak, zdawało się, nie straciła panowania nad sobą i poprzedni smutek znów mnie ogarnął.

Powitała mnie z rezerwą, chcąc tym niejako udowodnić kuzynom, że łączy nas jedynie zwykła przyjaźń. Przypomniała mi się scena, jaka rozegrała się między nami jednego z ubiegłych dni. Powiedziałem jej wtedy, że chciałbym z nią zwiedzać brzegi i przystanie Sekwany o zachodzie słońca lub przyglądać się z jakiegoś wzgórza wieżom San Gemignano. Spojrzała na mnie płomiennym wzrokiem i zawołała: „Jakie 71

to byłoby cudowne, Juan Pablo!" Lecz gdy zaproponowałem, byśmy wyruszyli w podróż jeszcze tego wieczora, przeraziła się i twarz jej spochmurniała. Rzekła: „Nie mamy prawa myśleć tylko o sobie. Świat jest bardzo skomplikowany". Gdy zapytałem, co chce przez to powiedzieć, dodała tonem jeszcze bardziej ponurym: „Szczęście jest otoczone bólem". Odszedłem wtedy od niej nagle, bez pożegnania. Wówczas najsilniej odczułem, że nigdy nie zespolę się z nią w zupełności i że muszę zadowolić się okruciami zjednoczenia, melancholijnymi i nierealnymi jak wspomnienie pewnych snów lub szczęście, jakie się odczuwa czasem słuchając muzyki.

A teraz zbliżała się, kontrolując każdy swój ruch, ważąc każde słowo, każdy grymas swej twarzy. Potrafiła nawet uśmiechnąć się do tej drugiej kobiety! Zapytała mnie, czy przywiozłem ze sobą płótna.

— Jakie płótna?! — zawołałem rozwścieczony, widząc, że gotowała jakiś skomplikowany manewr.

— Płótna, które obiecał mi pan pokazać — nalegała z pełnym spokojem — płótna z krajobrazami portowymi.

Spojrzałem na nią nienawistnie, lecz ona wytrzymała łagodnie mój wzrok, oczy zaś jej zdawały się mówić; „Przebac mi to". Kochana, kochana Mario! Jakże cierpiałem z powodu twej prośby i upokorzenia! Spojrzałem na nią tkliwie i powiedziałem:

— Naturalnie że przywiozłem. Mam je w pokoju.

— Chciałabym bardzo je zobaczyć — rzekła z tym samym opanowaniem.

— Możemy je obejrzeć choćby zaraz — odparłem zrozumiawszy jej intencje.

Drżałem na myśl, że może przyłączyć się do nas Mimi. Lecz Maria знаła ją lepiej, natychmiast więc wtrąciła kilka słów, które zażegnały niebezpieczeństwo.

— Zaraz wracamy — powiedziała.

Ledwie to wyrzekła, zdecydowanym ruchem wzięła mnie pod ramię i poszliśmy w kierunku domu. Rzuciłem przelotne spojrzenie na pozostających i zauważyłem w oczach Mimi jakby złośliwy błysk przesłany Hunterowi.

XXVII Miałem zamiar zabawić tu co najmniej kilka dni, a spędziłem tylko jedną noc. Na-
zajutrz o świcie uciekłem pieszo, z walizką i kasetą.
To zachowanie się, na pozór godne wariata, było jednak usprawiedliwione.

Gdy zostawiliśmy Huntera i Mimi samych, weszliśmy do domu po rzekome płótna, a następnie zeszliśmy z kasetą i teczką, która miała pozorować zbiór płócien. Był to pomysł Marii.

Kuzyni znikli. Maria odzyskała wspaniały humor, a gdyśmy przechodzili przez park w kierunku morza, wprost promieniała entuzjazmem. Była kobietą całkiem inną niż ta, którą znałem dotychczas: aktywniejszą, żywszą. Widoczna też stała się u niej wrażliwość zmysłów, której dotychczas nie dostrzegałem: namiętna percepcja kolorów i zapachów, entuzjastyczne i dziwne (zwłaszcza dla mnie, który posiadam wrażliwość introspekcyjną, prawie czysto wyobrazeniową) zachwywanie się kolorem napotykanego po drodze pnia, suchego liścia, jakiegoś żuczka, wonią eukaliptusa zmieszaną z zapachem morza. Zamiast mnie rozweselić, wszystko to jednak tylko wzmoгло moją rozpacz i niepokój, bo taka Maria była dla mnie obca i daleka; podejrzewałem, że taka właśnie może należała do Huntera lub kogoś innego.

Smutek mój wzmagał się również na skutek szumu morza, które słychać było coraz wyraźniej. Gdyśmy wyszli z parku i stanęli pod nadbrzeżnym niebem, odczułem, że smutek ów był nieunikniony; ogarnia mnie on zawsze, gdy znajduję się wobec piękna, przynajmniej wobec pewnego rodzaju piękna. Nie wiem, czy wszyscy tak to odczuwają, czy jest to wyłącznie moją nieszczęsną cechą.

Usiedliśmy na skale i dłuższy czas milczeliśmy słuchając szalonego łomotu fal w dole, czując na twarzach cząsteczki piany, której bryzgi nas dosięgały. Wzburzone niebo przywiodło mi na pamięć niebo Tintoretta z obrazu przedstawiającego wyratowanie Saracena.

— Ileż to razy — rzekła Maria — marzyłam o tym, by podzielić się z tobą tym morzem i niebem.

Po chwili dodała:

— Często zdaje mi się, że tę scenę zawsze przeżywaliśmy razem. Gdy ujrzałam tamtą samotną ko-

bietę z twojego okienka, czułam, że jesteś taki jak ja i również po omacku szukasz kogoś drugiego, jakby innego niemego rozmówcy. Odtąd nieustannie myślałam o tobie, marzyłam, byś był ze mną w tym miejscu, gdzie spędziłam tyle godzin mego życia. Któregoś dnia miałam zamiar wyruszyć na poszukiwanie ciebie, by wyznać ci wszystko. Obawiałam się jednak pomyłki, jak to mi się już raz zdarzyło, czekałam więc, żebyś ty był tym poszukującym. To ja ci w tym nieustannie pomagałam, przywoływałam cię po nocach, aż upewniłam się, że się odnajdziemy, a gdy się to stało przy tej niedorzecznej windzie, strach mnie sparaliżował i nie potrafiłam nic mądrego powiedzieć. Kiedyś się oddalił z myślą, że się omyliłeś, biegłam za tobą jak szalona. Później była nasza rozmowa na placu San Martin, kiedy to próbowałeś wyjaśnić mi pewne rzeczy, ja zaś robiłam wszystko, by cię zdezorientować, oscylując między trwoźną obawą utracenia cię na zawsze lub też sprawienia ci bólu. Usiłowałam zniechęcić cię do siebie, przynajmniej zaś naprowadzić na myśl, że nie rozumiem ciebie, twego zaszyfrowanego języka.

Milczałam. W głowie mojej panował chaos: przeplatały się w niej na przemian piękne uczucia i posępne myśli, słuchałam, zafascynowany, jej głosu, cudownego głosu. Zachodzące słońce zalało purpurą chmury. Czułam, że ta cudowna chwila nigdy więcej się nie powtórzy. „Nigdy, nigdy” — myślałam odczuwając zawrót głowy nad tą przepaścistą krawędzią, z której tak łatwo by było pociągnąć ją wraz z sobą w otchłań.

Dobiegały mnie urywki zdań: „Boże mój... tyle rzeczy jest w tej naszej wspólnej wieczności... tyle rzeczy strasznych... jesteśmy nie tylko tym krajobrazem, lecz również żywymi ludźmi z krwi i kości, biedakami pełnymi brzydoty i nicości...”

Morze stawało się ciemnym widmem. Wkrótce zapanała zupełna ciemność, w dole zaś fale nabrały jeszcze większej siły przyciągającej: pomyśleć tylko, jakie to byłoby łatwe! Ona mówiła, że jesteśmy nic nie znaczącymi, ohydnymi stworami. Wiedziałem, do jakiego stopnia sam zdolny byłem do popełnienia różnego rodzaju obrzydliwości, przeraziła mnie jednak myśl, że ona również, i to na pewno, zdolna jest

do tego rodzaju czynów. „Jak? — myślałem. — Z kim? Kiedy?” Zbudziła się we mnie niepoohamowana chęć: rzucić się na nią, rozerwać ją paznokciami, chwycić za szyję, udusić, a potem wrzucić do morza. Słuchałem dalej urywkowych zdań: mówiła o jakimś kuzynie Juanie, o swojej młodości na wsi, doszło moich uszu jakieś wyznanie dotyczące rzeczy „ponurych i strasznych”, jakie przeszła z tym drugim kuzynem. Zdawało się, że się przede mną spowiada; a ja, głupiec, straciłem okazję wysłuchania tej spowiedzi i lepszego poznania Marii.

— Jakie to wszystko straszne! — zawołałem.

Zachowywała się dziwnie, zdawała się nie słyszeć mnie; również i ona zapadła w stan jakiegoś odretwienia, ona również zdawała się być sama.

Minęła dłuższa chwila, może pół godziny.

Poczułem na twarzy jej pieścizoty, takie jak w innych podobnych wypadkach. Nie mogłem mówić. Jak matce w dzieciństwie, złożyłem głowę na jej piersiach i tak pozostawaliśmy w ciszy, bez przejścia od dzieciństwa ku śmierci.

Jaka szkoda, że za tym wszystkim kryły się fakty niewytłumaczalne i podejrzané! Jakżebym chciał być w błędzie, jak gorąco pragnąłem, by Maria była tą obecną i jedyną chwilą! Lecz to było niemożliwe: podczas gdy słuchałem bicia jej serca, ona zaś rozgarniała palcami moje włosy, fala czarnych myśli kłębiła mi się w głowie jak w bagnistej pieczarze i tylko czekała na stosowną chwilę, by się stamtąd wydrzeć z błotnistym pluskiem i rykiem.

XXVIII Działy się rzeczy dziwne. Po powrocie do domu zastaliśmy Huntera bardzo poruszonego, mimo że należy do rzędu ludzi, którzy starają się nie okazywać swoich wzruszeń. Próbował to ukryć, lecz bezskutecznie: wyraźnie było widać, że coś z nim się dzieje. Mimi już wyjechała, w jadalni zaś wszystko było przygotowane do kolacji. Dano nam do zrozumienia, żeśmy się bardzo spóźnili, gdyż służba zaczęła nienaturalnie żywo się uwijać. Podczas kolacji prawie się nie rozmawiało. Obserwowałem gesty i słowa Huntera w przekonaniu, że mogą one rzucić światło na szereg rzeczy i potwierdzić niektóre z moich 75

podejrzeń. Śledziłem również twarz Marii: była nieprzenikniona. By zmniejszyć napięcie, Maria wspomniała, że czyta obecnie jakąś powieść Sartre'a. Okazując swój wyraźnie zły humor, Hunter odrzekł:

— Powieści w dzisiejszych czasach! Że je piszą, no, można się zgodzić... Ale czytać je?...

Zamilkliśmy, Hunter zaś nie zrobił najmniejszego wysiłku, by załagodzić nieprzyjemny efekt wywołany jego słowami. Widać było, że ma coś do zarzucenia Marii. Ponieważ gdyśmy odchodzili, nic szczególnego nie zaszło, więc to coś przeciwko Marii najprawdopodobniej zrodziło się w nim podczas naszej długiej rozmowy. Trudno wprost byłoby przypuszczać, że to nastąpiło nie na skutek naszej rozmowy czy raczej naszej długiej nieobecności. Wniosek nasuwał się sam: Hunter był zazdrosny, a to dowodzi, że między nim a Marią istniało coś więcej niż tylko zwykła przyjaźń czy pokrewieństwo. Oczywiście nie jest konieczne, by Maria żywiła dla niego jakieś głębsze uczucie: to przecież Hunter przejmował się tym, że Maria zwracała uwagę na inną osobę. W każdym razie jeżeli irytacja Huntera była spowodowana zazdrością, musiałby raczej okazać swą wrogość w stosunku do mnie, co też się stało. Przekonało mnie o tym jedno przelotne spojrzenie Huntera, gdy Maria wspomniała coś o nadbrzeżnych skałach.

Pod pozorem zmęczenia udałem się do swego pokoju, jak tylko wstaliśmy od kolacji. Chciałem spokojnie zebrać jak najwięcej danych mogących oświetlić cały problem. Wszedłem po schodach, otworzyłem drzwi do pokoju, zapaliłem światło, głośno trzasnąłem drzwiami, jakbym je zamykał, i zacząłem nasłuchiwać. Po chwili usłyszałem głos Huntera, który tonem wzburzonym powiedział coś do Marii, poszczególnych słów jednak nie zrozumiałem. Maria milczała. Hunter znów coś powiedział, tym razem zdanie było dłuższe, ton zaś jeszcze bardziej wzburzony. Maria odpowiedziała krótko i cicho, nawiązując jakby do ostatnich jego słów, po czym nastąpiło poruszanie krzesłami i usłyszałem, że ktoś wchodzi po schodach. Szybko zamknąłem drzwi, lecz nasłuchiwałem w dalszym ciągu, przykładając ucho do dziurki od klucza. Po chwili usłyszałem odgłos kroków pod moimi drzwiami, były to kroki kobiece. Dłuższy czas nie spałem, rozmyśla-

jąc nad tym, co się stało, wciąż nasłuchując, czy nie usłyszę jakiegoś ruchu czy hałasu. W ciągu całej nocy nie usłyszałem jednak nic.

Nie mogłem zasnąć, dręczyły mnie problemy, które nigdy dotychczas nie przychodziły mi na myśl. Szybko zorientowałem się, że mój pierwszy wniosek był naiwny. Pomyślałem (i to było logiczne), że po to, by w Hunterze zrodziła się zazdrość, nie jest konieczne, by Maria darzyła go uczuciem. Ta konkluzja mnie uspokoiła. Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że chociaż to nie jest konieczne, nie jest przecież wykluczone.

Maria mogła kochać Huntera, a pomimo to on mógł odczuwać zazdrość.

A teraz dalej: jakie powody miałem do sądzenia, że Marię i jej kuzyna coś łączy? Powodów była cała masa. Przede wszystkim jeżeli Hunter naprzykrzał się jej scenami zazdrości, a ona go nie kochała, po co więc tak często "przyjeżdżała do tej estancji? W estancji mieszkał tylko Hunter (nie wiedziałem, czy był kawalerem, wdowcem czy rozwiedzionym, chociaż, zdaje mi się, Maria jednego razu wspominała coś o tym, że żył w separacji ze swoją żoną; istotne było to, że mieszkał w estancji sam). Drugi powód do podejrzeń był ten, że Maria nigdy nie mówiła o Hunterze inaczej jak z obojętnością. Wspominała go tak obojętnie, jak się mówi o członku rodziny, nigdy nie dając do zrozumienia, że Hunter jest w niej zakochany, a choćby zazdrosny o nią. Po trzecie, Maria tego popołudnia mówiła o tym, co w niej było złe. Co chciała przez to powiedzieć? Ja w liście do niej opisałem swoje czyny obrzydliwe (pijaństwo, awantury portowe, stosunki z prostytutkami), teraz zaś Maria powiedziała mi, że mnie rozumie, gdyż i ona nie jest tylko „oddalającym się okrętem” czy „parkiem o zachodzie słońca”. Czyż nie chciała przez to powiedzieć, że w jej życiu również są rzeczy ciemne i godne pogardy jak w moim? Czyż więc nie łączy jej i Huntera jedna z tych niskich pasji?

Przeżuwałem to wszystko i sprawdzałem w różnoraki sposób. Ostateczny i bezapelacyjny wniosek był następujący: Maria jest kochanką Huntera.

Ledwie zaczęło świtać, zszedłem po schodach z walizką i kaseta w rękę. Spotkałem lokaja, **który otwie-** 77

rał drzwi i okna, zabierając się do sprzątanía. Powiedziałem mu, by pożegnał w moim imieniu pana domu i przekazał moje wyrazy podziękowania, zaznaczając, że sobie uprzytomniłem nagle konieczność natychmiastowego powrotu do Buenos Aires. Lokaj przyglądał mi się ze zdziwieniem, szczególnie wówczas gdy odpowiadając na jego pytanie oświadczyłem, że na stację pójdę pieszo.

Na małej stacyjce musiałem czekać kilka godzin. Chwilami łudziłem się, że Maria nadejdzie. Czekałem na to z gorzką satysfakcją, jak dzieciak, który gdzieś się chowa i zamyka, czując się pokrzywdzony, i czeka, aż starsi przyjdą go szukać, znajdą i przyznają się do pomyłki. Lecz Maria nie przyszła. Kiedy nadjechał pociąg i spojrzałem raz jeszcze na drogę z nadzieją, że może się zjawi w ostatniej chwili, odczułem bezgraniczny smutek.

Wyglądałem oknem, podczas gdy pociąg pędził w kierunku Buenos Aires. Minęliśmy nieduże ranczo, na którego ganku stała kobieta przyglądająca się pociągowi. Nasunęła mi się głupia refleksja: „Kobietę tę widzę po raz pierwszy i ostatni. Nigdy już nie ujrzę jej w swoim życiu”. Myśl moja pływała jak korek po nieznanej rzece. Jakiś czas pływała dokoła tej kobiety na ganku ranczo. Co mnie obchodzi ta kobieta? Istniała jednak przez chwilę dla mnie i nigdy więcej to się nie powtórzy, z mego punktu widzenia jakby umarła. Gdyby pociąg spóźnił się nieznacznie lub ktoś zawołał ją z wnętrza ranczo, byłbym jej nigdy w życiu nie zobaczył.

Wszystko mi się wydało przelotne, przejściowe, niewyraźne, niepotrzebne. Kilka razy przed oczami stanęła mi Maria jak coś nierealnego i melancholijnego. Dopiero po paru godzinach myśli moje odzyskały dawną precyzję i sprawność.

XIX Dni poprzedzające śmierć Marii były dla mnie naj okrutniej szymi dniami mego życia. Nie mogę dokładnie opowiedzieć wszystkiego, co czułem wówczas, myślałem i robiłem. Owszem, niektóre szczegóły pamiętam z niewiarygodną wprost dokładnością, jednocześnie zaś są godziny i dni całe, które jak sny się zatarły i zniekształciły. Zdaje mi

się, że wiele dni spędziłem zamroczony alkoholem, leżąc na łóżku lub na ławce w Porcie Nowym. Gdy przybyłem na dworzec Konstytucji, pamiętam dokładnie, że wszedłem do baru zamawiając kilka whisky, po czym wziąłem taksówkę i udałem się do jakiejś knajpy przy ulicy 25 Maja, a może na Leandro Alem. Potem były jakieś hałasy, muzyka, krzyki, dziwaczny śmiech, brzęk butelek, oślepiające światła. Widzę siebie w celi któregoś komisariatu policji, z szalonym bólem głowy. Widzę policjanta otwierającego drzwi, drugiego mruczającego coś do mnie. Potem znów idę ulicą i nielitościwie się drapię. W kilka godzin (czy dni) później ktoś odprowadzał mnie do pracowni. Przychodzą jakieś koszmary, chodzę po dachach katedry. Jednego razu obudziłem się w swoim pokoju wśród ciemności, przy czym pokój wydał mi się olbrzymi, biegałem po nim jak opętany, nie mogąc dosięgnąć ścian. Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim świt wdarł się przez okno. Wówczas doczołgałem się do łazienki i w ubraniu wszedłem do wanny. Zimna woda podziałała na mnie kojąco, w myślach odżyły odosobnione fakty w postaci rozbitej i rozproszonej, jak pierwsze przedmioty, które wylaniają się po wielkiej powodzi: Maria na skale nadmorskiej, Mimi manipulująca cygarniczką, stacja Allende, sklep naprzeciwko stacji z szyldem „La Confianza” czy też „La Estancia”, Maria pytająca mnie o płótna i ja krzyczący: „Jakie płótna!”, Hunter przyglądający mi się podejrzliwie, ja nasłuchujący na górze, dialog między kuzynami, marynarz rzucający butelką, Maria zbliżająca się do mnie ze wzrokiem nieprzeniknionym, Mimi mówiąca „*Tchekhov*”, jakaś obrzydliwa kobieta całująca mnie i ja bijący ją pięścią, pchły gryzące całe moje ciało, Hunter rozprawiający o powieściach kryminalnych, szofer z estacji. Wyłoniły się również fragmenty snów: katedra pośród czarnej nocy, olbrzymi pokój.

Później, w miarę jak się uspokajałem, poszczególne fragmenty zaczęły się łączyć z innymi pojawiającymi się w mojej świadomości i krajobraz odbudowywał się powoli. Był to jednak krajobraz smutny i szary, jak ład wylaniający się z wielkich wód.

Wyszedłem z łazienki, przebrałem się w suchą bieleznię i ubranie i zasiadłem do pisania listu do Marii. Zaraz na wstępie chciałem wytłumaczyć się przed nią 79

z mojej ucieczki z estancji (przekreśliłem „ucieczki” i napisałem „wyjazdu”). Następnie dodałem, że bardzo cenię jej zainteresowanie się mną (przekreśliłem „mną” i napisałem „moją osobą”), że rozumiałem, iż jest istotą wielkoduszną, pełną czystych uczuć, mimo że — jak sama mi to powiedziała — nieraz owładały nią „niskie pasje”. Napisałem również, że odczuwałem piękno odejścia okrętu czy też rozkosz milczącej kontemplacji parku o zachodzie słońca, lecz, jak ona sama może to sobie z łatwością wyobrazić (przekreśliłem „wyobrazić” i napisałem „wydedukować”), te *rzeczy* nie wystarczą dla podtrzymania lub udowodnienia uczucia; w dalszym ciągu nie byłem w stanie zrozumieć, jak taka kobieta jak ona zdolna była mówić słowa miłości swemu mężowi i mnie, a jednocześnie spać z Hunterem (przekreśliłem „Hunterem”, napisałem „panem Hunterem”; zestawienie słowa „spać” z bezpośrednio następującym „pan”, formuła respektu dla tego osobnika, wydało mi się bardzo trafne). Dodałem, że poza tym obciąża ją fakt, iż jednocześnie sypiała z mężem i ze mną. Zakończyłem uwagą, że tego rodzaju zachowanie jest więcej niż zastanawiające.

Przeczytałem list powtórnie i wydało mi się, że z poczynionymi poprawkami będzie on dostatecznie mocny. Zakleiłem kopertę, udałem się na Poczta Główną i wysłałem go jako polecony.

XXX Ledwie wyszedłem z urzędu pocztowego, uprzytomniłem sobie dwie rzeczy: nie napisałem jej, co mnie przekonało o tym, że była kochanką Huntera; poza tym nie wiedziałem właściwie, co chcę osiągnąć raniąc ją tak niemiłosiernie. Może zmienić ją, jeśli przypuszczenia moje są trafne? To było oczywiście śmieszne. Skłonić ją, by wróciła do mnie? Niemożliwe, bym mógł to osiągnąć takim swoim zachowaniem. W głębi duszy pragnąłem, by Maria wróciła do mnie. Czemu więc nie powiedzieć tego wprost i niedwuznacznie, bez zadawania rozmyślnych ran: przyznać się, że odjechałem z estancji, gdyż zauważyłem zazdrość Huntera. Reasumując: wniosek, że ona była kochanką Huntera, był nie tylko krzywdzący, lecz zarazem nie udowodniony. W każdym razie było 80

to tylko przypuszczenie mające za zadanie naświetlić moje dalsze dochodzenia.

A więc jeszcze raz popełniłem głupstwo przez ten mój niemądry zwyczaj pisania listów spontanicznie i wysyłania ich natychmiast. Ważne listy należy przetrzymać co najmniej przez dzień, póki się nie przemyśli wszystkich możliwych skutków.

Jedynym ratunkiem było pokwitowanie. Przeszukałem wszystkie kieszenie, lecz go nie znalazłem: widocznie wyrzuciłem je gdzieś bezmyślnie. Biegiem wróciłem na pocztę i stanąłem w ogonku do listów poleconych. Gdy przyszła kolej na mnie, wysiliłem się na obłudny uśmiech i zapytałem urzędniczkę:

— Nie poznaje mnie pani?

Kobieta spojrzała na mnie przerażona; na pewno pomyślała, że ma do czynienia z wariatem. By wyprowadzić ją z błędu, dodałem, że przed chwilą wysłałem list polecony do estancji Los Ombues. Przerazenie oglupiałej kobiety wzmogło się, więc chcąc widocznie zasięgnąć rady czy pomocy, spojrzała na swego kolegę, po czym znów skierowała wzrok na mnie.

— Zgubiłem pokwitowanie — tłumaczyłem się:

Odpowiedzi nie było.

— Chciałbym wycofać list, ale nie mam pokwitowania ■—■ dodałem.

Kobieta i jej kolega wymienili spojrzenia jak dwoje partnerów przy brydżu, wreszcie urzędniczka zapytała tonem pełnym niedowierzania:

— Chce pan, by mu zwrócono list?

— Tak jest.

— I nie ma pan pokwitowania?

Musiałem się przyznać, że rzeczywiście nie posiadam tego ważnego dokumentu. Zdziwienie kobiety przeszło wszelkie granice. Wymamrotała coś, czego nie zrozumiałem, i znów spojrzała na swego kolegę.

— Chce, by mu zwrócono list — wyjąkała.

Ten drugi uśmiechnął się bezgranicznie głupkowato, udając jednocześnie przebiegłego, kobieta zaś zwróciła się do mnie:

— To jest absolutnie niemożliwe.

— Mogę okazać dokumenty — rzekłem sięgając do kieszeni.

— Nic z tego. Przepisy są wyraźne.

— Przepisy powinny być logiczne! — zawołałem gwałtownie, przyglądając się ze złością pieprzykowi z długim włosiem, jaki miała na policzku.

— Zna pan przepisy?

— Nie mam potrzeby ich znać, proszę pani — odrzekłem chłodno, wiedząc, że to „pani” dotknie ją śmiertelnie.

Oczy harpii błysnęły złowrogo.

— Pani chyba rozumie, że przepisy nie mogą być alogiczne: redagował je "przecież człowiek normalny, nie zaś wariat. Jeżeli nadaję list i po chwili wracam prosząc, by mi go zwrócono, gdyż zapomniałem o czymś bardzo istotnym, logiczne jest, by się przychyłono do mojej prośby. Czyżby poczcie zależało na tym, by listy szły niekompletne lub mylne? Poczta jest środkiem komunikacji, nie zaś narzędziem przymusu : poczta nie może mnie zmusić, bym wysłał list, jeżeli tego nie chcę.

— Przecież chciał pan — odrzekła.

— Tak! — krzyknąłem — ale t e r a z t e g o n i e chcę!

— Proszę nie krzyczeć, pan jesi źle wychowany. Teraz jest już za późno.

— Nie jest za późno, bo list leży jeszcze tam — powiedziałem wskazując kosz przyjętych listów.

Ludzie w kolejce zaczęli głośno szemrać. Twarz starej panny trzęsła się ze złości. Z prawdziwym obrzydzeniem odczułem, że cała moja nienawiść koncentrowała się na pieprzyku.

— Mogę udowodnić, że jestem nadawcą tego listu — powtórzyłem pokazując kilka kartek papieru.

— Proszę nie krzyczeć, nie jestem głucha — rzekła. — Ja nie mam prawa tego zrobić.

— Proszę więc porozumieć się z kierownikiem.

— Nie mogę. Maro zbyt dużo interesantów — powiedziała. — Tutaj mamy moc pracy, rozumie pan?

— Ta sprawa wchodzi w zakres pracy — tłumaczyłem.

Niektórzy interesanci zaproponowali, by zwrócono mi list, i koniec. Kobieta wahała się, udając, że jest czymś zajęta, wreszcie poszła w głąb biura i po chwili wróciła wściekła. Zaczęła szukać w koszu.

— Jaka estancja? — eapytafa głosem syczącym jak żmija.

— Estancja Los Ombues — odrzekłem z jadowitym spokojem.

Po chwili poszukiwań, umyślnie przedłużonych, wzięła list do ręki i zaczęła go oglądać jak jakiś za-
oferowany towar.

— Są tylko inicjały i adres — powiedziała wreszcie.

— A więc?

— Jakie dokumenty ma pan, by udowodnić, że to pański list?

— Mam odpis — rzekłem pokazując go.

Wzięła, obejrzała i zwróciła mi.

— Skąd mogę wiedzieć, że to jest odpis listu?

— Bardzo proste: otwórzmy list i porównajmy. Kobieta chwileczkę się wahała, spojrzała raz jeszcze na kopertę, po czym rzekła:

— Jakże można otwierać list, jeśli nie jestem pewna, czy jest on rzeczywiście pański?

Publiczność znów zaczęła szemrać. Miałem ochotę zrobić jakieś głupstwo.

— Ten dokument jest niewystarczający — zakonkludowała harpia.

— A czy dowód osobisty będzie wystai czający? — zapytałem z drwiącą uprzejmością.

— Dowód osobisty? — Zastanowiła się, znów spojrzała na kopertę i wreszcie rzekła: — Nie, sam dowód nie, bo tutaj są tylko inicjały. Będzie pan musiał przedstawić również zaświadczenie zamieszkania albo książeczkę wojskową, bo w niej wypisane jest miejsce zamieszkania. — Zastanawiała się jeszcze chwilę i dodała: — Chociaż niepodobna, by pan nie zmienił miejsca zamieszkania od osiemnastego roku życia. A więc będzie pan musiał jednak przedstawić również świadectwo zamieszkania.

Teraz niepohamowana wściekłość wezbrała we mnie; czułem, że dotyczy ona również Marii i — co najciekawsze — Minii,

— Niech to pani wyśle, tak jak jest, i idzie do diabła! — krzyknąłem odchodząc.

Wściekły wyszedłem z urzędu, pomyślałem nawet, czy nie wrócić i w jakiś sposób nie podpalić kosza z listami. Ale jak to zrobić? Rzucić zapałkę? Prze-

cięż zgaśnie, zanim wpadnie do kosza. Gdyby przedtem polać trochę naftą, skutek byłby niezawodny, ale wykonanie tego nie było wcale proste. Postanowiłem czekać na wyjście personelu i zwymyślać starą pannę.

XXXI P^o godzinie oczekiwania zdecydowałem się jednak odejść. Bo i cóż bym zyskał zwymyślawszy tę harpię? Poza tym, stojąc tak, znów zacząłem rozmyślać i to mnie znacznie uspokoiło: list był dobrze napisany i dobrze się stanie, jeśli dojdzie do rąk Marii. (Często mi się to zdarzało: usilnie walczyć przeciwko jakiejś przeszkodzie stojącej na drodze i uniemożliwiającej dokonanie czegoś, zdawałoby się, niezbędnego, a następnie uznać swą porażkę i przyznać, że los ma rację). Rzeczywiście, gdy zabrałem się do pisania listu, zrobiłem to bezmyślnie, nawet na niektóre ostrzejsze zdania, zdawało mi się, Maria nie zasługiwała. Teraz zaś, gdy znów przypomniałem sobie wszystkie okoliczności poprzedzające list, nagle odżył w mojej pamięci sen, jaki miałem podczas jednej z owych pijackich nocy: widziałem siebie siedzącego pośrodku jakiegoś ciemnego pokoju, bez mebli i bez dekoracji, za mną zaś stały dwie osoby, które patrzyły na siebie z szatańską ironią: byli to Maria i Hunter.

Gdy mi się ten sen przypomniał, ogarnął mnie bezbrzeżny smutek. Opuściłem drzwi urzędu pocztowego i poszedłem powoli dalej.

Po pewnym czasie znalazłem się na ławce w ogrodzie Reeolety, pod rosnącym tam potężnym drzewem. Wszystko dookoła (drzewa i aleje przypominające mi nasze najlepsze chwile) wpływało na zmianę mego nastroju. Bo i cóż właściwie miałem Marii do zarzucenia? Najdroższe chwile naszej miłości (jej twarz, łagodny wzrok, jej palce w moich włosach) zaczęły podnosić mnie na duchu, ostrożnie, tak jak się bierze i podnosi kochaną osobę, która upadła. Powoli odzyskiwałem równowagę, smutek zamienił się w tęsknotę, nienawiść do Marii w nienawiść do samego siebie, a moje odrętwienie w nieodpartą potrzebę udania się do domu. W miarę jak zbliżałem się do pracowni, zdałem sobie sprawę, do czego dążyłem: chciałem zatelefonować do niej do estancji natychmiast, bez chwili-



li zwłoki. Dlaczego dopiero teraz wpadłem na ten pomysł?

Gdy uzyskałem połączenie, nie miałem siły mówić. Telefon przyjął lokaj. Powiedziałem mu, że pragnę niezwłocznie mówić z Marią. Po chwili znów odezwał się ten sam głos i zakomunikował mi, że pani zadzwoni do mnie mniej więcej za godzinę, może wcześniej.

Oczekiwanie wydawało mi się nieskończenie długie.

Nie przypominam sobie dokładnie tamtej rozmowy, pamiętam tylko, że zamiast prosić o przebaczenie za list (on był powodem mojego telefonu do niej), mówiłem rzeczy jeszcze gorsze niż w liście. Rozmowę zacząłem łagodnie i czule, lecz z równowagi wytrącił mnie jej zbolaty głos oraz fakt, że jak zwykle nie odpowiadała na żadne z moich konkretnych pytań. Dialog, a raczej mój monolog, przybierał na gwałtowności, a im mój ton był agresywniejszy, tym boleśniejszym głosem mówiła ona, co mnie jeszcze bardziej drażniło, gdyż byłem przekonany o swojej słuszności i o bezpodstawności jej bólu. Zakończyłem oświadczeniem, że popełnię samobójstwo, że ona jest komediantką i że muszę ją natychmiast widzieć w Buenos Aires.

Nie odpowiedziała na żadne z moich konkretnych pytań, lecz ostatecznie, wobec mego nalegania i groźby samobójstwa, obiecała wrócić do Buenos Aires następnego dnia, „choć sama nie wiem, po co”.

— Jedyne, co osiągniemy — dodała cicho — to nowe wzajemne rany.

— Jeżeli nie przyjedziesz, zabiję się — powtórzyłem. — Dobrze się zastanów, zanim poweźmiesz decyzję.

Powiesiłem słuchawkę, nic więcej nie dodając, i na prawdę w tamtej chwili byłem zdecydowany popełnić samobójstwo, jeżeli ona nie przybędzie i nie wyjaśni sytuacji. Byłem dziwnie zadowolony z tej decyzji. „Zobaczymy” — myślałem, jakby tu chodziło o zemstę.

XXXII Ten dzień by* straszny.

Wybiegłem z pracowni jak furia. Mimo że miałem ją zobaczyć następnego dnia, byłem niepokieszony i przepelniała mnie jakaś głucha, nieokreślona nienawiść. Teraz, zdaje mi się, byłem nastawiony przeciwko sobie, bo w głębi serca czułem, że moje bezlitosne znieważanie Marii było bezpodstawne. Złościło mnie tylko to, że ona się nie broniła, więc jej pokorny i zbolaty ton zamiast uspokoić podniecał mnie jeszcze bardziej.

Gardziłem sobą. Tego wieczoru upiłem się i zacząłem szukać awantury w barze przy Leandro Alem. Wybrałem sobie kobietę, która mi się wydała najbardziej zdeprawowana, a następnie dałem się sprowokować do bójki z jakimś marynarzem, który pozwolił sobie wulgarnie z niej zażartować. Co nastąpiło potem, nie pamiętam, z wyjątkiem tego, że biliśmy się i że ludzie nas rozłączyli wśród ogólnej wesołości. Wyszędłem z tą kobietą na ulicę. Powietrze mnie orzeźwiło. Nad ranem zaprowadziłem ją do siebie. Gdy weszliśmy do pracowni, zaczęła się śmiać z jednego mojego obrazu, który Ftał na sztalugach. (Nie wiem, czy już wspomniałem, że od tamtej sceny z okienkiem moje malarstwo powoli się zmieniło: jakby stwory i przedmioty z mojej starej twórczości uległy jakiejś kosmicznej katastrofie. Wrócę jeszcze do tego tematu, bo w tej chwili chcę opowiedzieć, co się stało w owych decydujących dniach). Kobieta patrzyła śmiejąc się, następnie spojrzęła na mnie, oczekując zapewne wyjaśnienia. Łatwo się domyślić, że nic mnie nie obchodziło zdanie tej nieszczęsnej o mojej sztuce. Powiedzialem jej, żebyśmy nie tracili czasu.

Leżeliśmy w łóżku, gdy nagle uderzyła mnie straszliwa myśl: wyraz twarzy kobiety był podobny do tego, jaki kilka razy zauważyłem u Marii.

— K....! — krzyknęłem jak oszalały, odsuwając się z obrzydzeniem. — Jasne, że k....!

Poderwała się jak żmija i ugryzła mnie w ramię, aż trysnęła krew. Myślała, że ją miałem na myśli. Pełen pogardy i wstrętu do całej ludzkości wyrzucilem ją z pracowni, oświadczając, że zabiję ją jak psa, jeżeli natychmiast nie wyjdzie. Wyszła krzycząc i złorzecząc, mimo że rzuciłem za nią całą garść pieniędzy.

Dłuższy czas stałem jak skamieniały pośrodku pracowni nie wiedząc, co robić i jak uporządkować swoje myśli. W końcu zdecydowałem się: poszedłem do łazienki, napełniłem wannę zimną wodą, rozebrałem się i wszedłem do wody. Leżałem dopóty, aż ochłonałem zupełnie i mózg mój zaczął w pełni funkcjonować. Starałem się myśleć z absolutną ścisłością, gdyż czułem, że doszedłem do punktu decydującego. Jaka była myśl wyjściowa? W wyniku tego pytania wynurzył się cały szereg słów takich, jak: ulicznica, Maria, prostytutka, rozkosz, symulacja. Ułożyłem je w pełnym porządku, aż skończyło się na sformułowaniu całej prawdy w następującej, nie pozostawiającej wątpliwości formie: **Maria i prostytutka miały wyraz twarzy identyczny; prostytutka symulowała odczuwanie rozkoszy, więc Maria również symulowała, zatem Maria jest prostytutką.**

— K..., k..., k...! — krzychałem wyskakując z wanny.

Mój mózg funkcjonował z okrutną jasnością, jak zawsze dawniej, kiedy czułem się dobrze; widziałem wyraźnie, że muszę z tym skończyć i nie powinienem więcej dać się oszukiwać ani przez jej zboląły głos, ani przez to jej całe komedianctwo. Powinienem kierować się wyłącznie logiką i wyciągnąć śmiało wszystkie wnioski z podejrzanych, wypowiedzi, gestów i zagadkowych przemilczeń Marii.

Koszmarne obrazy przesuwają się przede mną, jakby oświetlone płomieniami monstrualnego ogniska. Podczas gdy się ubierałem, jeszcze raz stanęły mi w wyobraźni wszystkie podejrzane momenty: pierwsza rozmowa telefoniczna, zadziwiająca umiejętność symulowania, świadcząca o długiej praktyce, ciemne sprawy wokół Marii, których nie wyjaśniały jej zagadkowe wypowiedzi, ta jej obawa, że „przyniesie mi ból”, QO mogło jedynie oznaczać: „sprawię ci dużo bólu swoimi kłamstwami, niekonsekwencjami, dziwnym zachowaniem się, symulowaniem miłości i rozkoszy”, bo przecież kochając szczerze nie mogła mi sprawiać cierpienia. Przypomniałem sobie bolesną scenę z zapalkami, fakt, że na początku unikała nawet moich pocałunków i godziła się na miłość fizyczną jedynie wtedy, gdy zmuszałem ją, by przyznała się 87

do awersji fizycznej do mnie lub, w najlepszym wypadku, do charakteru macierzyńsko-siostrzanego jej miłości. Wszystko to niweczyło zupełnie wiarę w jej płomienną rozkosz, w jej słowa i twarz wyrażające ekstazę. "Również przerażało mnie jej nadzwyczajne wprost doświadczenie seksualne, którego na pewno nie nabyła u boku takiego stoika jak Allende. A te zapewnienia o miłości do Allenda, które również świadczyły o umiejętności oszukiwania, zarówno w sferze uczuć, jak i doznań zmysłowych? A cały ten krąg rodzinny składający się z hipokrytów i kłamców, ta pewność siebie, z jaką oszukała kuzynów wyimaginowanymi pejzazami portowymi? Przypomniało mi się, również owo zdanie, które wyrwało się jej nad mordercem: „Obawiam się pomyłki, jak to mi się już raz zdarzyło". Z kim? Kiedy? Jak? I te „rzeczy ponure i straszne" z tym drugim kuzynem, co też podświadomie wyznała (o czym świadczył choćby brak odpowiedzi na moją prośbę o wyjaśnienie, gdyż nie słyszała mnie, po prostu nie słyszała, tonąc cała we wspomnieniach dzieciństwa). Wreszcie ta przerażająca scena z dziewczyną z baru. Ta nieczysta kreatura, co śmiała się z moich obrazów, i ta delikatna istota, która mnie natchnęła do ich stworzenia, miały w pewnych momentach identyczny wyraz twarzy. Boże mój! Jakże można nie zniechęcić się do wszystkiego, gdy się pomyśli, że między Schumannem i Brahmem a domem publicznym istnieją ciemne, ukryte podziemne przejścia.

Wiele z tych wniosków, jakie wysnułem, było hipotetycznych, nie mogłem ich udowodnić, chociaż byłem jak najbardziej przekonany o ich słuszności. Nagle uprzytomniłem sobie, że nie wykorzystałem w swych dochodzeniach ważnego źródła wiadomości: opinii osób trzecich. Pomyślałem o tym z dziką satysfakcją, jak również o najodpowiedniejszej osobie: Lartigue. Był on bliskim przyjacielem Huntera i jak tamten typem godnym pogardy. Wydał kiedyś tomik poezji, których myślą przewodnią było wykazanie próżności wszelkich spraw i wysiłków ludzkich, i żalił się wszystkim dokoła, że nie przyznano mu nagrody państwowej. Zatelefonowałem więc 88

do niego. Oświadczyłem mu, że chcę go natychmiast zobaczyć, poszedłem do jego domu, obsypałem komplementami jego wiersze, a w końcu, ku jego wielkiemu rozczerowaniu (bo chciał, byśmy i dalej mówili wyłącznie o nim), skierowałem do niego przygotowane wcześniej pytanie:

— Od jak dawna Maria Iribarne jest kochanką Huntera?

Moja matka nigdy nie pytała, czy wzięliśmy z kredensu i zjedliśmy jabłko, gdyż bylibyśmy zaprzeczyli; pytała z miejsca, ile, chytrze dając do zrozumienia, że wie o tym, o czym chciała się dowiedzieć: czy zjedliśmy, czy nie zjedliśmy jabłek; my zaś, delikatnie zwabieni tym akcentem położonym na ilość, odpowiadaliśmy, że zjedliśmy tylko jedno.

Lartigue był próżny, lecz niegłupi: przejrzał, że w moim pytaniu coś się kryje, usiłował więc obejść je odpowiedzią:

— Nic nie wiem o tych sprawach.

Wrócił do swojej książki i do nagrody. Ze szczerym oburzeniem zawołałem:

— Dziwię się, że tak niesprawiedliwie potraktowano pańską książkę!

Pożegnałem się i prędko wyszedłem. Lartigue nie był głupi, nie połapał się jednak, że to, co powiedział, wystarczyło mi.

Była trzecia po południu. Maria już powinna była być w Buenos Aires. Zatelefonowałem z kawiarni. Gdy podniosła słuchawkę, powiedziałem:

— Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć.

Starałem się nie zdradzić z moją nienawiścią, obawiając się, że jeżeli coś wyczuje, nie przyjdzie na spotkanie. Umówiliśmy się na piątą w ogrodzie Recolety, jak zawsze.

— Chociaż doprawdy nie wiem, co nam z tego przyjdzie — dodała ze smutkiem w głosie.

— Bardzo wiele — odrzekłem — bardzo wiele.

— Tak myślisz? — zapytała, przybita.

— Oczywiście.

— Bo mnie się zdaje, że jedyne, co osiągniemy, to zadanie sobie nowych ran; będzie to jeszcze jeden krok do zniszczenia tego słabego mostu, który nas łączy. Przyjechałam, bo prosiłeś mnie o to, powinnam była jednak zostać w estacji: Hunter jest chory. 89

„Jeszcze jedno kłamstwo" — pomyślałem.
— Dziękuję — powiedziałem sucho. — A więc zobaczymy się punktualnie o piątej. Maria zgodziła się na to z westchnieniem.

XXXIV J^{uz} przed piątą czekałem w ogrodzie Recolety, na ławce, gdzieśmy się zwykle spotykali. Widok drzew, ścieżek i ławek, które były świadkami naszej miłości, jeszcze bardziej mnie zasmucił. Pograżony w rozpaczliwej melancholii, myślałem o pięknych chwilach, jakie spędziliśmy w tych ogrodach Recolety i placu Francuskiego, przypomniałem sobie, jak w owych już bardzo odległych dniach wierzyłem w wieczność naszej miłości. Kiedyś wszystko było cudowne, olśniewające, teraz zaś ponure, zimne, obojętne, pozbawione sensu. Na krótką chwilę przejął mnie strach przed zniszczeniem resztek naszego uczucia. Pomyślałem również, że mógłbym odrzucić na bok wszystkie wątpliwości i podejrzania, które mnie tak dręczyły. Co mnie obchodzi, czym jest Maria gdzieś tam, poza mną? Na widok tych ławek, tych drzew pojąłem, że nigdy nie potrafię zrezygnować z jej pomocy, nawet gdyby to miały być tylko te krótkie przebliski zrozumienia, tajemnej łączącej nas miłości. W miarę jak o tym myślałem, dochodziłem do coraz wyraźniejszego przekonania, że miłość należy przyjąć taką, jaka jest, i rozpacz mnie ogarniała na myśl, że zostanę sam z nicością. Z tego przerażenia zrodziło się i rozrastało uczucie pokory, jaką mogą mieć tylko ci, którzy nie mają wyboru. W końcu ogarnęła mnie niewysłowiona radość, gdy doszedłem do wniosku, że nie ma nic straconego i że można zacząć, poczynając od tej chwili, nowe życie.

Niestety Maria jeszcze raz mnie zawiodła. O piątej trzydzieści jak szalony pogałem znów do telefonu. Powiedziano mi, że nagle wróciła do estancji. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, skrzyczałem pokojówkę:

— Przecież byliśmy umówieni na piątą!

— Nic nie wiem, proszę pana — odparła, wystraszona. — Pani pojechała autem, a odjeżdżając powiedziała, że spędzi tam co najmniej tydzień.

„Co najmniej tydzień"! Świat zaczął się zapadać 90

w jakąś otchłań. Wyszedłem z kawiarni jak zaczadzo-
ny. Wszystko było absurdalne, latarnie, ludzie podą-
żający w tę i w tamtą stronę, jakby to miało jakiś
sens. A tak ją przecież prosiłem o to spotkanie, tak
mi była potrzebna! I tak mało było tego, o co miałem
zamiar ją prosić i błagać! „Wiedziała, co wybrać mię-
dzy pocieszeniem mnie a spaniem z Hunterem” —
pomyślałem z goryczą. Gdy tylko pomyślałem o tym,
natychmiast powstał w mej głowie plan, a wraz z nim
wstąpiła we mnie pewność i zdecydowanie. Biegiem
popędziłem do siebie, skąd znów zatelefonowałem do
jej domu. Zapytałem, czy pani przed odjazdem nie
miała przypadkiem telefonu z estancji.

— Tak — powiedziała pokojówka po chwili wa-
hania.

— Telefonował pan Hunter, prawda?

Pokojówka znów się wahała. Zapamiętałem to so-
bie.

— Tak — rzekła wreszcie.

Teraz opętała mnie zwycięska rozpacz. A więc
jest tak, jak przeczuwałem! Obok całkowitego osa-
motnienia ogarnęło mnie uczucie nierozumnej radości:
świadomość, że się nie omyliłem.

Pomyślałem o Mapellim.

Już chciałem wyjść, gdy zatrzymała mnie jedna
myśl. Poszedłem do kuchni, wziąłem duży nóż i wró-
ciłem do pracowni. Jak mało pozostało z malarstwa
dawnego Juana Pablo Castela! Teraz wszyscy ci za-
rozumiałcy będą mieli powody do podziwu. Wszyscy
ci, którzy porównywali moje malarstwo do architek-
tury. Czy który z nich odgadł, że pod tymi konstruk-
cjami i „rzeczami intelektualnymi” krył się wulkan
gotowy do wybuchu? Żaden! Teraz będą mieli dużo
czasu, by podziwiać te kolumny w kawałkach, te po-
sągi rozwalone, dymiące ruiny, tunele i schody pie-
kielne. Oto muzeum skamieniałych posągów, Mu-
zeum Rozpaczy i Wstydu. Było jeszcze coś, co chcia-
łem zniszczyć, nie pozostawiając żadnego śladu. Spoj-
rzałem na swój obraz po raz ostatni, poczułem bole-
sny skurcz w gardle, lecz nie zawahałem się: poprzez
łzy widziałem, jak zamieniała się w strzępy ta pla-
ża, ta samotna, zamyślona kobieta, jej oczekiwanie.
Deptałem strzępy płótna, miażdżyłem je obcasami, aż
zamieniły się w brudne szmaty. Nigdy już nie doczeka 91

się odpowiedzi to głupie oczekiwanie! Teraz widziałem wyraźnie, że było nonsensem!

Pobiegłem do Mapellego, lecz nie zastałem go w domu. Powiedziano mi, że jest w księgarni Viau. Udałem się tam, wziąłem go pod ramię, odprowadziłem nieco na bok i oświadczyłem, że potrzebuję auta. Spojrzał na mnie zdziwiony i zapytał, czy stało się coś ważnego. Nie miałem przygotowanej odpowiedzi, lecz nie zastanawiając się odrzekłem, że tak, że ojciec mój jest ciężko chory, a do następnego dnia nie mam pociągu. Wyraził współczucie i gotowość odwiezienia mnie, lecz wykręciłem się: oświadczyłem, że wolę jechać sam. Znowu spojrzał na mnie zdumiony. Skończyło się jednak na tym, że dał mi klucze.

XXXV Była szósta po południu. Obliczyłem, że jadąc autem Mapellego będę na miejscu za cztery godziny, a więc około dziesiątej. „Dobra godzina” ■— pomyślałem.

Gdy wyprowadziłem wóz na autostradę wiodącą do Mar del Plata, jechałem sto trzydzieści na godzinę i zacząłem odczuwać zadowolenie, które obecnie przypisuję poczuciu pewności, że nareszcie zrobię z nią coś konkretnego. Z tą, którą widziałem niejako poprzez szklaną, nieprzeniknioną ścianę, z tą, którą mogłem wprawdzie widzieć, lecz której nie mogłem ani słyszeć, ani dotknąć, tak byliśmy odseparowani tym szklanym murem, żyliśmy w smutku i melancholii.

W tym zadowoleniu to ukazywało się, to znikало uczucie winy, nienawiści i miłości; symulowali chorobę, i to mnie zasmucało; nie omyliłem się dzwoniąc po raz drugi do domu Allenda, i to przepełniało mnie goryczą. Maria mogła teraz beztrąsko się śmiać, mogła się oddawać temu cynikowi, temu kobieciarzowi, temu fałszywemu i zarozumiałemu poecie. Jakaż pogardę żywiłem dla niej! Odczuwałem bolesną przyjemność rozmyślając nad tą jej ostatnią decyzją: z jednej strony byłem ja i przyrzeczone spotkanie ze mną. Po co? By mówić o rzeczach niejasnych i przykrych, by stanąć jeszcze raz naprzeciwko siebie z przedziałem szklanego muru między nami, patrzeć sobie w oczy, smutne i zrozpaczone, starać się porozumieć, dotknąć się, pieścić poprzez szklaną ścianę, śnić jeszcze raz

niemożliwy sen. Z drugiej strony był Hunter, któremu wystarczyło podejść do telefonu i przywołać ją, by zaraz biegła do jego łóżka. Jakie to wszystko groteskowe, jakie smutne!

Do estacji przybyłem kwadrans po dziesiątej. Zostawiłem auto przy drodze, by warkot motoru nie ściągnął niczyjej uwagi, i dalej poszedłem pieszo. Było strasznie gorąco, panowała cisza i spokój, słysząc było jedynie szum morza. Chwilami promienie księżyca przezierają zza chmur, mogłem więc iść bez przeszkód ścieżką wśród eukaliptusów. Gdy doszedłem pod sam dom, zauważyłem, że parter był oświetlony: a więc są jeszcze w jadalni.

W powietrzu wisiał nieruchomy upał, który latem zawsze poprzedza burzę. Byłoby normalne, gdyby po kolacji wyszli na spacer, skryłem się więc w zakątku parku, skąd mogłem widzieć ludzi schodzących z gan-ku, i czekałem.

XXXVI Czas dłużył mi się bardzo. Me wiem, ile go upłynęło, tego zegarkowego, anonimowego i uniwersalnego czasu, który jest obcy naszym uczuciom, naszym losom, naszym powstającym i sypiącym się w gruzy miłościom, naszym oczekiwaniom śmierci. Lecz jeśli chodzi o mój czas osobisty, był on nieskończenie długi i skomplikowany, chwilami jak ciemna i wzburzona rzeka, to znów jak-spokojne, nieruchome i wieczne morze, nad którym Maria i ja staliśmy naprzeciwko siebie w ekstatycznej kontemplacji, potem znowu zamieniał się w rzekę, która nas porwała jak we śnie i niosła w okres dzieciństwa: widziałem Marię galopującą na szalonym koniu, z pałającymi oczami, z włosami na wietrze, ja zaś byłem w małym miasteczku południowym, w moim pokoiku, z twarzą przyciśniętą do szyby, obserwując śnieg, ze wzrokiem również pałającym z podziwu. Żyliśmy więc niejako w korytarzach czy tunelach równoległych, nie wiedząc, że idziemy obok siebie jednocześnie, by spotkać się u wylotu przed sceną przeze mnie namalowaną jak przed kluczem przeznaczonym tylko dla niej, jak przed tajemnym znakiem, po którym miała poznać, że ja już tam byłem, że korytarze nareszcie się połączyły i godzina spotkania nadeszła.

Godzina spotkania nadeszła! Ale czy naprawdę tunele się zeszyły i nasze dusze się odnalazły? Wszystko to dokonało się jedynie w mojej głupiej wyobraźni. " Bo przecież korytarze w dalszym ciągu szły równolegle jak przedtem, z tą różnicą, że teraz mur dzielący nas stał się murem jakby szklanym, mogłem więc oglądać postać Marii milczącą i niedotykalną... Nie, nawet i ten mur nie zawsze był taki: czasami przeobrażał się w mur z czarnego kamienia, a wówczas nie wiedziałem, co się dzieje po drugiej stronie, nie wiedziałem, co się z nią dzieje w tych nieznanach chwilach; myślałem nawet, że w takich momentach zmieniała się jej twarz, że wykrzywił ją drwiący grymas, a może nawet wymieniała złośliwe spojrzenia z innymi; myślałem, że całą tę historię z tunelami sam wymyśliłem i wierzyłem w nią tylko ja, w każdym razie istniał tylko jeden tunel, ciemny i samotny: mój, tunel, w którym przebiegło moje dzieciństwo, moja młodość, całe moje życie. I na jednym z odcinków tego kamiennego tunelu ujrzałem tę dziewczynę, uwierzyłem, że szła drugim tunelem, równoległym do mojego, podczas gdy w rzeczywistości ona należała do szerokiego świata, do świata tych, co nie żyją w tunelach; przez ciekawość może zbliżyła się do jednego z mych dziwnych okien i ujrzała obraz mojej samotności nie do uratowania, a może zaintrygował ją niemy język, klucz do mego obrazu? Podczas gdy ja szedłem wciąż swoim tunelem, ona, na zewnątrz, żyła swoim życiem normalnym, życiem niespokojnym ludzi z zewnątrz, tym życiem interesującym i absurdalnym, w którym są tańce i zabawy, radość i wesołość. Zdarzało się, że czasami gdy mijalem jedno z mych okien, ona czekała na mnie niema i stęskniona (dlaczego czekała i dlaczego niema i stęskniona?), to znów nie nadchodziła na czas lub zapominała o biednym więźniu, a wówczas ja, z twarzą przyciśniętą do szklanego muru, widziałem ją w oddali śmiejącą się, tańczącą beztrosko lub, co gorsza, nie widziałem jej zupełnie, więc wyobrażałem ją sobie w miejscach niedostępnych i absurdalnych. Wówczas pojmowałem, że los mój był o wiele samotniejszy, niż to sobie wyobrażałem.

XXXVII Po wszystkich tych nie kończących się wędrówkach przez morza i tunele narzeczcie zobaczyłem, jak schodzili po schodach. Gdy ujrzałem ich przytulonych do siebie, moje serce stało się twarde i zimne jak bryła lodu.

Zeszli powoli jak para zakochanych, której się nigdzie nie spieszy. „Spieszyc się, dokąd?” — myślałem z goryczą. A jednak ona wiedziała, że jej potrzebowałem, że czekałem na nią tego popołudnia, że każda minuta daremnego oczekiwania jest dla mnie męką. Z całą pewnością wiedziała, że podczas gdy ona tak spokojnie cieszyła się życiem, mną miotają burze w małym piekle rozmyślań i przypuszczeń. Ach, ileż obrzydliwego okrucieństwa może pomieścić w sobie serce najdelikatniejszej kobiety! Ona była zdolna w tym momencie przyglądać się burzliwemu niebu i spacerować, uwieszona u ramienia tego groteskowego osobnika, iść aleją u jego boku, namiętnie oddychać zapachem kwiatów, siedzieć obok niego na trawie, wiedząc przy tym, że ja, po daremnym czekaniu na nią, prawdopodobnie już telefonowałem do niej do domu, gdzie powiedziano mi o jej wyjeździe do stacji; wiedząc, że się znajduję na czarnej, bezludnej pustyni, obłączony przez niezliczone głodne robactwo żrące moje wnętrze.

Rozmawia teraz z tym śmiesznym straszidłem. O czym ona może mówić z tym zdegenerowanym typem? I w jakim języku?

A może to ja raczej jestem śmiesznym monstrem? Czy nie śmieją się teraz ze mnie? Czyż nie jestem po prostu śmiesznym, głupim człowiekiem z tunelu, ze swymi tajemnymi sprawami?

Spacerowali długo po parku. Burza już wisiała nad nami. Pampero powiał silnie i spadły pierwsze krople. Musieli biec, by skryć się w domu. Serce zaczęło mi bić z bolesną gwałtownością. W swej kryjówce wśród drzew czułem, że będę świadkiem, narzeczcie, obrzydliwej tajemnicy, którą często oglądałem w wyobraźni.

Bacznie obserwowałem okna pierwszego piętra, które na razie były jeszcze zupełnie ciemne. Po krótkiej chwili zobaczyłem, jak zapaliło się światło w pokoju środkowym, a więc w sypialni Huntera. Dotąd wszystko było normalne. Sypialnia Huntera była położona

naprzeciwko schodów, logiczne więc było, że ona najpierw się oświeciła. Teraz powinno się zapalić światło w drugim pokoju. Sekundy, w czasie których Maria miała dojść od schodów do swego pokoju, głośno i niespokojnie wybijało moje zbolełe serce.

Drugie światło jednak się nie zapalało.

Mój Boże, nie mam siły powiedzieć, co w owej chwili czułem! Czułem, jakby ostatni statek, który mógł mnie zabrać z bezludnej wyspy, przepłynął w oddali, nie zauważywszy sygnałów rozbitka. Ciało moje opadło powoli, jak gdyby nadeszła godzina starości.

XXXVIII Stałem pod poruszonymi burzą drzewami, przemoczony do nitki. Wreszcie zobaczyłem, jak zapaliło się światło w drugiej sypialni. To co nastąpiło potem, pamiętam jak koszmar sen. Zmagając się z burzą, wdrapałem się po kracie okiennej na ostatnie piętro. Następnie przeszedłem taras i znalazłem drzwi. Wszedłem do galerii wewnętrznej i odszukałem sypialnię Marii: linia światła pod drzwiami wskazała mi ją nieomylnie. Drżąc wyjąłem nóż i otworzyłem drzwi. „Po cóż miałaby zamykać się na klucz?” — pomyślałem. Podczas gdy patrzyła na mnie pałającym wzrokiem, stałem we drzwiach. Zbliżyłem się do jej łóżka, a gdy już stałem przy niej, żalnym głosem zapytała:

— Co chcesz zrobić, Juan Pablo?

Kładąc lewą rękę na jej głowie odpowiedziałem:

— Muszę cię zabić, Mario. Zostawiłaś mnie samego.

Płacząc podniosłem nóż i wbiłem w jej pierś. Ona zwarła szczękę i przyknęła oczy, a gdy wyjąłem zakrwawiony nóż, znów z wysiłkiem otworzyła oczy i spojrzała na mnie wzrokiem zbolełym i pokornym. Porwała mnie nagła furia, odzyskałem siły i wiele jeszcze razy wbijałem nóż w jej piersi i brzuch.

Znów wyszedłem na taras, zsunąłem się na dół w szalonym pędzie, jakby szatan we mnie wstąpił na zawsze. Błyskawice oświeciły krajobraz, ukazując moim oczom jeszcze raz nasz pejzaż nadmorski, gdzie byliśmy razem.

Popędziłem do Buenos Aires. Przybyłem o godzinie 96

czwartej czy piątej rano. Z kawiarni zatelefonowałem do domu Allenda, kazałem go obudzić i powiedziałem mu, że muszę natychmiast z nim się zobaczyć. Pobiegłem na ulicę Posadas, lokaj czekał już na mnie przy drzwiach. Gdy wszedłem na piąte piętro, Allende stał przed windą, z oczyma szeroko otwartymi. Chwycałem go za ramię i wciągnąłem do mieszkania. Służący wszedł za nami i przyglądał mi się zdziwiony. Kazałem mu wyjść. Ledwie wyszedł, krzyknąłem do ślepcy:

— Wracam z estancji! Maria była kochanką Huntera!

Twarz Allenda zeszywniała jak martwa.

— Wariat! — rzucił przez zęby z zimną nienawiścią.

Rozdrażniony jego niewiarą, krzyknąłem:

■— To pan jest wariatem! Maria była również moją kochanką, i nie tylko moją!

Odczuwałem sadystyczną przyjemność, ślepiec zaś stał jak skamieniały.

— Tak! — krzyczałem. ■— Ja oszukiwałem pana, a ona oszukiwała nas obu! Ale teraz nikogo nie będzie mogła oszukiwać. Rozumie pan? Nikogo! Nikogo!

— Szaleniec! — zawył ślepiec jak zwierzę i rzucił się na mnie.

Usunąłem się na bok, on zaś potknął się o stół i upadł. Szybko się podniósł, wyprostował i zaczął mnie gonić po całym salonie, potykając się o krzesła i inne meble; płakał suchym szlochem bez łez, wykrzykując raz po raz: „Szaleniec!”

Schodami zbiegłem na ulicę, przewracając po drodze lokaja, który usiłował mnie zatrzymać. Opanowała mnie nienawiść, pogarda i litość.

Gdy zgłosiłem się do komisariatu, była już pewnie szósta.

Poprzez okienko celi widziałem rodzący się nowy dzień i bezchmurne niebo. Pomyślałem, że o tej porze wiele mężczyzn i kobiet budzi się, następnie je śniadanie, czyta gazetę, idzie do biur, karmi dzieci czy koty, komentuje film z poprzedniego wieczoru.

Niemal fizycznie czułem, jak wewnątrz mego ciała rozrasta się chłodna, czarna czeluść.

XXXIX^w ciągu ty^{ch} miesięcy więziennych wielokrotnie zastanawiałem się nad ostatnim słowem ślepcy, nad jego krzykiem: „Szaleniec!” Nieludzkie zmęczenie, a może jakiś ukryty instynkt ciągle mi przeszkadzał i nie potrafiłem wysnuć z tego żadnych wniosków. Może któregoś dnia zrobię to, a wówczas przeanalizuję również motywy, jakie pchnęły Allenda do samobójstwa.

Mogę przynajmniej malować, chociaż podejrzewam, że lekarze śmieją się za moimi plecami, tak jak śmiali się pewnie podczas rozprawy sądowej, gdy wspominałem o scenie z okienkiem. Istniała tylko jedna osoba, która rozumiała moje malarstwo. Teraz moje najnowsze obrazy muszą coraz bardziej utwierdzać ich w ich głupim mniemaniu. A mury tego piekła będą się dla mnie stawać z każdym dniem coraz bardziej hermetyczne.

POSŁOWIE Powiedzenie, jakoby znaczenie całej współczesnej literatury iberoamerykańskiej można było sprowadzić do twórczości kilku najwybitniejszych jej reprezentantów — żartobliwe bez wątpienia i posunięte do absurdu — jest przecież odbiciem pewnego autentycznego zjawiska. Zjawisko to można by określić jako dość nagłą „ekspansję” na terenie literatury światowej twórczości grupy pisarzy z jednego obszaru, o na ogół dość słabo dotychczas znanej (nawet wykształconym czytelnikom) kulturze. Chodzi tu o twórczość przedstawiającą najwyższy poziom sztuki literackiej — o wysokich walorach estetycznych i wartościach filozoficznych, me zawsze łatwą w odbiorze, a przekazującą tę część prawdy o człowieku, która jest jednakowa na wszystkich szerokościach geograficznych.

W grupie tych właśnie pisarzy, za których sprawą świat odkrył literaturę Ameryki Łacińskiej, Argentyna jest chyba najliczniej reprezentowana. Można tu bowiem wymienić co najmniej trzech spośród jej twórców: Borgesa, Cortazara, Sabato.

Ernesto Sabato, będąc wśród nich najmniej płodnym pisarzem (zdobywając sławę światową miał w swym dorobku dwie zaledwie powieści *) — jest zarazem tym, którego postać, twórczość i poglądy wzbudzają najbardziej chyba kontrowersyjne reakcje i opinie. Dlatego też, aby uniknąć ryzyka stworzenia nowych albo pogłębienia już istniejących wokół tego twórcy nieporozumień, najsłuszniej chyba będzie zaprezentować go czytelnikowi poprzez jego własne wypowiedzi. A że Sabato skomentował w swych esejach, w sposób obszerny i dogłębny, większość spraw związanych ze swą osobą i dziełem — próba taka staje się szczególnie pociągająca.

Zacząć tu wypada od samego usytuowania Ernesta Sabato i jego dzieła na tle literatury narodowej Argentyny, czego pisarz w zbiorze esejów pt. *El escritor y sus fantasmas* dokonuje w sposób następujący**: „Nałożenie się Argentyny imigranckiej na stary, półfeudalny naród przejawia się po pierwszej wojnie światowej w dwóch wielkich prądach literackich: arystokratycznym i plebejskim. Z jednej strony pojawiają się pisarze tacy, jak Giiiraldes

- Trzecia powieść pt. *Abaddón, el Erterminador* ukazuje się w r. 1974.

** *El escntor y sus fantasmas*, str. 46—47.

i Victoria Ocampo, których kultura oparta jest często na wzorach francuskich; z drugiej — pisarze wyłonieni z ludu, jak Eoberto Arlt, pozostający w kręgu wpływów wielkich prozaików rosyjskich ubiegłego wieku i ideologów rewolucji, jako że nasza imigracja była biedna i pochodziła z krajów o silnych tradycjach anarchistycznych i socjalistycznych; synowie robotników obcego pochodzenia, ci przyszli artyści ulicy, pisać uczyli się na lekturze tanich tłumaczeń Gorkiego i Emila Zoli, Marksa i Bakunina, zamiast tekstów Baudelaire'a albo Henry Jamesa, jakie równocześnie czytali ich uprzywilejowani rodacy.

Ten podział objawi się wyraźnie około r. 1920 w grupach Florida i Boedo. I wyda dwa archetypy: Jorge Luis Borgesa i Roberlo Arlta.

Z nastaniem ogólnego kryzysu w r. 1930 skończył się tu okres liberalizmu; w konsekwencji rozpadać się zaczęły różne mity, instytucje i idee. W tej krytycznej atmosferze uformowała się nowa generacja pisarzy, do której ja sam należę, a profil literacki skomplikował się gruntownie: niektórzy przedstawiciele «czystej» literatury stopniowo zamykali się w wieży z kości słoniowej lub eskapizmie; u spadkobierców Boedo zaostrzyły się akcenty społeczne w związku z ekspansją marksizmu leninowskiego; u innych, na koniec, rozdartych pomiędzy dwoma tendencjami, wpadających z jednej skrajności w drugą, nastąpiło ostatecznie urzeczywistnienie syntezy, która jest — moim zdaniem — autentycznym przewyciężeniem fałszywego dylematu ucieleśnianego przez zwolenników literatury jako takiej i literatury społecznej. Ci ostatni, nie lekceważąc ściśle literackich pouczeń Floridy, starali się i starają wyrazić swe trudne doświadczenie duchowe w twórczości, która siłą rzeczy oddala ich od dowolności i estetyzmu, jakie charakteryzowały tę grupę, nie przyjmując jednakże uproszczonej doktryny literatury społecznej, uprawianej w grupie Boedo".

Ta dążność do wzniesienia się ponad tendencje, dylematy i spory literatury narodowej nie oznaczają jednak w żadnym wypadku próby ucieczki od rzeczywistości argentyńskiej*; jest to, przeciwnie, chęć jak najgłębszego

* „Nie ma innego sposobu osiągnięcia wieczności, jak zgłębianie chwili obecnej, ani innego sposobu uzyskania uniwersalności, jak poprzez własną sytuację: dziś i tutaj. Zadaniem pisarza ma być dostrzeganie wartości wiecznych, jakie są zawarte w dramacie społecznym i politycznym jego czasu i miejsca" (...).

zanurzenia się w niej bez naruszania jej skomplikowanej struktury przez fałszywie stawiane problemy. Albowiem — stwierdza Sabato * — „Trzeba licznych powieści i licznych pisarzy, by dać obraz kompletny i głęboki tej rzeczywistości zawikłanej i sprzecznej: upadająca oligarchia, *gaucho* ** odeszły w przeszłość, *gringo* ***, który awansował, imigrant wykolejony lub biedny, syn i wnuk tego imigranta, kosmopolityczny mieszkaniec Buenos Aires, obojętny i bez ojczyzny — człowiek, który żyje tu jak w hotelu. I wszystkie krzyżujące się uczucia, i wzajemne urazy. A być może problemem psychologicznym i metafizycznie najbardziej złożonym jest potomek cudzoziemców, dziwne stworzenie, którego krew pochodzi z Genui albo Toledo, ale którego życie przebiegało na pampach argentyńskich albo na ulicach tego babilońskiego miasta (...)”■

Jasno z tego wynika, że literatura narodowa Argentyny — tego kraju, który nie posiada w swym zapleczu wielkiej kultury tubylczej Azteków czy Inków — ma stać się przede wszystkim obrazem jej mieszkańca, „dziwnego stworzenia”, zaplątanego beznadziejnie w problemy metafizyki. Problemy te, siłą rzeczy, są tutaj obecne w stopniu wyjątkowo intensywnym. „Jeśli bowiem — kontynuuje pisarz swe refleksje — centralnym problemem metafizycznym człowieka jest jego przemijanie, my tutaj podlegamy mu bardziej aniżeli w Paryżu lub w Rzymie; żyjemy niczym w obozowisku pośród trzęsienia ziemi i nie odczuwamy nawet tej namiastki wieczności, która tam została stworzona przez tysiącletnią tradycję i przez tę metaforę wieczności, jaką są pociemniałe kamienie ich wielowiekowych świątyń i grobowców”.

Poczucie zagubienia, samotności, tragizm losu człowieka poszukującego wartości wiecznych i absolutnych, a skazanego na śmierć i zagładę — są te same w różnych epokach historycznych i na różnych szerokościach geograficznych, choć różne mogą być sposoby ich wyrazu i stop-

„(...) Życie to znaczy być pośród świata, świata zdeterminowanego w pewnych warunkach historycznych, w okolicznościach, których nie możemy uniknąć. I których nie **wolno nam** unikać, jeśli mamy zamiar uprawiać prawdziwą sztukę”(…).

E. Sabato, *El escritor y sus fantasmas*, str. 44, 45.

* E. Sabato, *EJ escritor y sus fantasmas*, str. 37.

** Mieszaniec krwi hiszpańsko-andiańskiej, żyjący na pampach.

*w pogardliwa nazwa obcokrajowca — przede wszystkim pochodzącego z USA.

nie nasilenia. Cywilizacja dzisiejsza — stwierdza Sabato * — cywilizacja odhumanizowana, zmechanizowana sprzyja szczególnie ujawnieniu tych stanów, których literatura — jeśli ma spełniać swe zadania — musi stać się pełnym odbiciem. Sztuka Nowego Świata otworzyć tu może zupełnie nowe perspektywy.

Ale — ponieważ wszystko, co nowe, z zasady buduje się i opiera na tym, co stare już i znane — sam Sabato staje się pisarzem, pobierając lekcje w tradycyjnej szkole nauk ścisłych :

„Nauki fizyczno-mateinacyjne — pisze w wiele lat później, gdy okres ten w jego życiu należy już od dawna do przeszłości — wymagają i przyzwyczajają do pewnego rygoru intelektualnego, który przydaje się przy uprawianiu literatury. Przypomnieć trzeba, co mówi Stendhal w swoim *Życiu Henryka Brulard*, a także pamiętać należy o jego zamiarze pisania z suchym rygorem naukowym Kodeksu Cywilnego. U nieposkromionego romantyka, jakim był on z urodzenia, ten surowy formalizm w znacznej mierze miał służyć dla hamowania go, uchronienia od popadnięcia w błędy łatwego romantyzmu, którym przeżyła jego epoka {...}. W krajach iberoamerykańskich, trochę skłonnych do pompatyczności — jak do wszystkiego, co hiszpańskie — ta surowa zaprawa w naukach ścisłych może przydać się dla uniknięcia błędów, do jakich tendencja ta nas prowadzi. Bez romantyzmu nie ma dzieła sztuki, a surowy rygor formy nie tylko nie niweczy tego ducha, ale przeciwnie, nadaje mu zwielokrotnionej i paradoksalnej siły — siły, jaką posiada Stendhal" **.

Cała młodość pisarza przebiega też pod znakiem za-

* „(...) Pascal, William Blake, Dostojewski, Baudelaire, Lautreamont, Kierkegaard i Nietzsche przeczuwali, że coś tragicznego jest w trakcie dojrzewania pośród optymizmu. Ale Wielka Maszyna szła naprzód. Człowiek poczuł się na koniec opuszczony w niezrozumiałym dla siebie wszechświecie (...). Franz Kafka wyraził lepiej niż ktokolwiek inny to uczucie zagubienia człowieka naszych czasów. A jakkolwiek samotność człowieka jest odwieczna, nie socjologiczna, lecz metafizyczna, tylko społeczeństwo takie jak to mogło ją w całym jej ogromie objawić. Tak jak niektóre potwory dostrzeżone być mogą tylko w nocnych ciemnościach, samotność istoty ludzkiej miała objawić się w całej swej przerażającej postaci w tym zmiernym cywilizacji maszynowej”. (E. Sabato, *Hombres y engranajes*, str. 20.)

** *El esantor y sus fantasmas*, str. 10.

miłowania do nauk ścisłych, które — jak sam stwierdza — było wynikiem jego najgłębszych potrzeb wewnętrznych, a ukoronowane zostało daleko posuniętymi studiami i tytułami naukowymi. Pierwszego odkrycia swych upodobań dokonuje w latach licealnych w Buenos Aires, dokąd wysłano go z jego małego miasteczka leżącego pośród pampy, gdzie w 1911 roku urodził się w dostatniej rodzinie mieszczańskiej:

„Byłem patologicznym introwertykiem — wspomina * pisarz ten okres — moje noce zaludniały straszne koszmary i halucynacje (...). I wówczas, nagle, napotkałem przed sobą świat matematyki. Jeszcze teraz przypominam, sobie ekstazę, której doświadczyłem przy pierwszym doświadczeniu: porządek, przejrzystość i rygor, których brakowało w moim młodzieńczym świecie i za którymi rozpaczliwie tęskniłem, objawiły mi się w tej przezroczystej sferze form geometrycznych, w tym wszechświecie platończym i doskonałym, który fascynował występni Sokratesa. Po raz pierwszy także, jakkolwiek w sposób prawie nieświadomy, poczułem się rozdarty przez dwie przeciwstawne siły: tę, która ciągnęła mnie w ciemną otchłań, i tę, która starała się wykupić mnie przez moce porządku i światła”.

Po raz drugi szukać będzie ucieczki w naukach matematycznych w kilka lat później. Zwiąawszy się na studiach z ideologią marksistowską, wysłany zostaje w 1934 roku na kongres komunistyczny do Brukseli; stamtąd, zamiast — jak było to przewidziane — do Moskwy, udaje się do Paryża, gdzie, samotny i zagubiony, powraca „do tego świata form bezcielesnych, do tego jakby schroniska wysokogórskiego, gdzie nie docierają hałasy ludzi ani ich zawile sprzeczki” **.

Podczas kilku lat studiował tam „z szaleństwem, prawie z furią rzeczy abstrakcyjne, dając sobie zastrzyki przezroczystego opium, żyjąc w sztucznym raju idealnych przedmiotów”.

Kiedy w końcu wrócił do kraju, Sabato z tą samą pasją oddaje się pracy w Instytucie Fizycznym La Pląta, gdzie w 1937 roku zdobywa doktorat i, otrzymując stypendium dla prowadzenia badań w Laboratorium Curie, po raz drugi przyjeżdża do Paryża. Ale wtedy zdaje so-

** *Hombreg y engranajes.*

bie nagle sprawę z tego, że wszystko to było w gruncie rzeczy skomplikowaną ucieczką, szukaniem wyjścia dla tego autentycznych problemów wewnętrznych *. Wówczas wiąże się na krótko z surrealistami **, po czym opuszcza Paryż, wyruszając do Stanów Zjednoczonych, gdzie, jak pisze***, mógł „ujrzeć Kapitalizm Maszynowy w jego najpełniejszej, najbardziej jawnej i odrażającej perfekcji”. Następnie wraca do ojczyzny i zabiera się do pisania pierwszego bilansu swych doświadczeń, który ukazuje się drukiem w roku 1945 jako zbiór esejów zatytułowanych *Uno y uniuerso*.

W roku 1951 publikuje nowy zbiór esejów — *Hombres y engranajes*, noszący podtytuł *Reflexiones sobre el dinero, la razón y el derrumbe de nuestro tiempo*, o których w przedmowie swej mówi, że „nie tworzą systematycznej całości ani nie pretendują do zadośćuczynienia wymogom formy literackiej”, będąc „nieuporządkowanym sposobem wyrazu człowieka naszych czasów, który czuł się zobowiązany do refleksji nad chaosem, jaki go otacza”. Odnaleźć tu można ni. in. ślady historii zbliżenia się, pełnych pasji kontaktów ■—• i na koniec definitywnego oddalenia pisarza od komunizmu, nauk ścisłych, surrealizmu. Oddalenie to zresztą nie zdołało zatrzeć głębokich śladów, jakie kontakty te na nim wywarły, i które siłą *rzeczy* odbić się musiały na jego twórczości. Następny esej — tym razem o wymowie politycznej — ukazuje się w roku

* „Ale kiedy podnosiłem głowę znad logarytmów i sinusoid, napotykałem ludzkie twarze. W 1938 pracowałem w Laboratorium Curie. Zbiera mnie na śmiech i czuję odrazę do siebie samego, kiedy wspominam siebie pośród elektrometrów, znoszącego jeszcze ciasnotę duchową i próżność tych naukowców, próżność tym bardziej godną pogardy, że przyodziewała się zawsze we frazesy o Ludzkości, o Postępie i innych mitach w tym stylu; tymczasem zbliżała się wojna, na której nauka, co według tych panów przyszła wyzwalać człowieka z wszelkich jego nieszczęść fizycznych i metafizycznych, miała stać się narzędziem zmechanizowanego zabójstwa” (*Hombres y engranajes*).

** „Wówczas, w 1938 r., stwierdziłem, że moje krótkotrwałe przejście przez naukę skończyło się. I jakkolwiek dr Jekyll rozmyślał podczas dnia nad radioaktywnością, Hyde włączył się nocą samotnie ulicami Paryża albo zaczynał pisać pierwsze strony powieści, albo tarzał się w czystej irracjonalności, wzbudzając wciąż nowe skandale z malarzami surrealistycznymi; jakże wyraźnie zrozumiałem wtedy wartość moralną surrealizmu, jego moc niszczenia mitów pewnej skończonej cywilizacji, jego ogień oczyszczający (...)” (*Hombres y engranajes*).

*** *Hombres y engranajes*.

1956 — *El otro rostro del peronismo*, gdzie Sabato ujawnia głębokie korzenie peronizmu. Wreszcie opublikowany w 1963 roku zbiór esejów pod tytułem *El escritor y sus fantasmas* rzuca światło na całość sądów pisarza na temat literatury i jego własnej twórczości artystycznej, dostarczając wyczerpujących komentarzy do dwóch jego w międzyczasie napisanych powieści: *El tunel* i *Sobre heroes y tumbas*.

Jeśli *Tunel* pozwala odkryć w Erneście Sabato pisarza najwyższej rangi, przynosząc mu olbrzymią popularność na terenie Argentyny, to druga powieść — *Sobre heroes y tumbas* — staje się ukoronowaniem jego talentu pisarskiego, zapewniając mu od razu trwałą pozycję w literaturze światowej.

Autor, jak sam stwierdza, usiłował tu „opisać dramat istot, które urodziły się i cierpiały w tym smutnym kraju”*, przedstawić pełny obraz skomplikowanej rzeczywistości dzisiejszej Argentyny.

Jak we fresku rozwija się tu równolegle historia miłości, miasta, sekty oraz samej Historii, otwierając przed czytelnikiem świat pełen poezji, mitów, namiętności, rytuałów i fascynacji. Doskonałe opanowanie techniki powieściowej pozwala pisarzowi swobodnie operować różnymi elementami narracji, by dotrzeć do samej istoty tego, co nazwać by można „bytem argentyńskim” — a przez to odsłonić pewne prawdy: te, które są charakterystyczne dla całego kontynentu południowoamerykańskiego i te, które są uniwersalne.

Źródłem natchnienia do stworzenia owej uniwersalnej wizji pewnej konkretnej rzeczywistości były dla pisarza — podobnie jak w wypadku całej pozostałej twórczości — jego najbardziej osobiste, nieuchwytnie, ukryte w najgłębszych warstwach świadomości marzenia i obsesje. „Teraz, kiedy zaczynam rozpamiętywać moje życie — pisze on z okazji wydania antologii swych utworów ** — stwierdzam, że wszystko, czego dokonałem, to przetrwanie pewnych nielicznych obsesji, obsesji, które czasem przejawiają się w próbach racjonalnych, w esejach na temat dramatu człowieka w tej katastrofie ogólnej naszej epoki, a czasem w dwuznacznych, niejasnych i sprzecznych fantazjach podświadomości. Zapewne, jeśli

* *EJ escritor y sus fantasmas*.

** przedmowa do antologii (*Itinerario*, 1970).

jakiś fragment mojego dzieła ma przetrwać, będzie to któreś z tych niewytłumaczalnych delirycznych majaceń. Bowiern, jak powiedział Hölderlin, każdy człowiek jest bogiem, kiedy śni, a tylko żebrakiern, gdy myśli".

Ale Ernesto Sabato zdaje się myśleć nawet wtedy, gdy śni: należy on do tych pisarzy, którzy równolegle snują refleksje filozoficzne i fantazje poetyczne; co więcej, jednocześnie rozmyślają nad tymi fantazjami, pozwalając wnikać w tajniki ich myśli i warsztatu twórczego.

W ten sposób pozwala on niejako współuczestniczyć czytelnikowi w procesie tworzenia, który w jego mniemaniu jest w pewnej mierze analogiczny z przebiegiern marzenia sennego. Gdyż — jak stwierdza pisarz — „w twórczości artystycznej, jak we śnie, istnieje początkowy odruch, który jest introwertywny — pogrążanie się w najgłębszych warstwach swego ja. Ale podczas gdy we śnie pozostajemy tam (i stąd dręczący charakter koszmaru), w dziele sztuki zachodzi drugi moment — *ex-presslo*, wydobywanie się, parcie na zewnątrz, które jest wyzwalaające. W tym drugim momencie działają nie tylko mroczne siły naszego jestestwa, jak to miało miejsce w chwili początkowej, lecz wszystkie siły ducha: nieświadome i podświadome, rzecz jasna, ale także i świadome: wola twórcza, idee estetyczne lub filozoficzne, które oczywiście autor posiada. Dlatego więc dzieło jest «wizją świata* albo — w mniejszym lub większym stopniu — «konceptją świata»"*.

Tak więc dzieło literackie może (i powinno) stać się dla autora środkiem wyzwolenia z jego problemów wewnętrznych, sposobem uwolnienia się od dręczących go snów i koszmarów — a zarazem drogą nawiązania kontaktu z innymi, przez podobne sny i koszmary dręczonymi istotami, to jest próbą przewyciężenia własnej (autora) i cudzej (czytelnika) samotności. Każde dzieło jest też świadectwern na temat pewnego społeczeństwa, bo wiern „(...) jednostka sama nie istnieje. Człowiek żyje otoczony przez społeczeństwo, zanurzony w społeczeństwie, cierpiąc, walcząc albo ukrywając się w społeczeństwie. Nie tylko jego postawy świadome są wynikiern tych stałych kontaktów ze światem, który go otacza; nawet sny jego i koszmary są ich rezultatem.

(...) Z tego punktu widzenia powieść najskrajniej

**pi escritor y sus fantasmas*, str. 21.

subiektywna jest Aspołeczna* i w mniej lub bardziej zawiły albo przenikliwy sposób daje nam świadectwo na temat świata, w którym dana postać żyje".

Jak zatem należałoby przystąpić do odczytania ostatecznego sensu *Tunelu*? Zastrzegając się, że wszelka próba szczegółowej interpretacji dzieła literackiego jest z góry skazana na niepowodzenie*, Ernesto Sabato dostarcza przecież — jakże pasjonującego dla czytelnika — klucza do tej powieści w zamieszczonym w zbiorze esejów *El escritor y sus fantasmas* wyimaginowanym wywiadzie z samym sobą. Postawione tu problemy — jak objaśnia we wstępie pisarz — są odpowiedzią na pytania najczęściej zadawane mu zarówno przez krytyków, jak i czytelników. Przytoczenie z tego wywiadu obszernych fragmentów (ich kolejność, ze względu na oczywistą konieczność dokonania skrótów, będzie tu musiała ulec pewnym przesunięciom, aby zachować przejrzystość myśli autora) — będzie zapewne dla czytelnika najpełniejszym, niezastąpionym komentarzem i objaśnieniem niniejszej powieści.

Tak więc, po pierwsze, powstanie tego utworu nie jest przypadkowe: *Tunel*, znacząc początek kariery pisarskiej autora, jest równocześnie czymś w rodzaju końcowego bilansu pewnego etapu egzystencji. Pisanie powieści nie jest bowiem dla Sabato — jak on sam to stwierdza — przyjemnością ani rozrywką:

„(...) jakkolwiek szanuję tych, co piszą codziennie i publikują co roku, ja tego robić nie mogę. Mogę pisać tylko o wielkich kryzysach, jakie przechodzimy w naszej egzystencji — o skrzyżowaniach dróg, na których istota nasza wydaje się czynić bilans całkowity, kiedy to porządkujemy naszą wizję świata i sensu egzystencji w ogóle. Te okresy u człowieka są nieliczne, bardzo nieliczne: koniec wieku dojrzewania, koniec młodości, koniec życia. (...) Nie jestem skłonny do publikowania wszystkich pośred-

* „Powieści nie pisze się głową, ale całym ciałem. I wiele rzeczy, które ktoś tam wkłada, jest wieloznacznych; nawet on sam nie zna ich ostatecznego znaczenia, ponieważ nie pochodzą one z najbardziej jasnej części świadomości. Tak więc zdarza się, że plany, jakie nieuchronnie zaczyna się robić w myśli przystępując do pisania, zostają w końcu zniszczone przez postaci, które z chwilą spuszczenia ich w ruch» nabierają własnego życia. Bardzo trudno jest w tych warunkach powiedzieć, co oznacza każdy z aspektów powieści — nawet dla samego autora" (Ei *escritor y sus fantasmas*, str. 19—20).

nich doświadczeń — przez skromność albo przez arogancję^{***}. Dlatego powieść ta nie jest bynajmniej ostatecznym i pełnym wyrazem wizji świata autora:

„Kiedy pisałem *Tunel*, byłem jeszcze bardzo młody; myślę, że wyraża on tylko moją stronę negatywną, moją stronę czarną i zropaczoną. Być może to właśnie jest tym, co daje tej powieści siłę, siłę ostateczności. Ale wydaje mi się, że człowiek, koniec końców, skłania się bardziej ku nadziei aniżeli ku rozpaczy”. (...)

Czy jednak wobec tego można powiedzieć, że *Tunel* jest powieścią autobiograficzną — czy autor identyfikuje się z Castelem?

„Żaden z podstawowych epizodów tego utworu — odpowiada Sabato^{**} — nie został wzięty wyłącznie z życia realnego, od zbrodni poczynając: jak dotąd nie zabiłem nikogo, jakkolwiek chęci mi nie brakowało. I prawdopodobnie te właśnie chęci wyjaśniają w znacznej mierze zbrodnię Castela. Innymi słowy, nie ma powieści, która nie byłaby w szerszym znaczeniu autobiograficzną, jeśli w życiu człowieka uwzględnimy jego sny i koszmary. Jak mógłbym więc identyfikować się i nie identyfikować z Castelem? Przedstawia on pewien moment albo aspekt mojego ja, podczas gdy inny aspekt został być może przedstawiony przez Marię. Castel wyraża — wydaje mi się — postawę młodzieńczą i bezwzględną, Maria postawę dojrzałą i względną. Allende również przedstawia *coś* mojego, a także Hunter”^{***}.

Ale Castel żyje w całkowitej, nieuleczalnej samotności — w „tunelu”, gdzie wszelki kontakt ludzki jest niemożliwy i którego ściany chwilami tylko stają się przezroczyste pozwalając Ujrzeć świat, gdzie toczy się normalne życie, gdzie ludzie spotykają się ze sobą... Taka samotność jednak to wypadek skrajny: tylko szalenieć mógłby przez czas dłuższy żyć w podobnym stanie — objaśnia autor, dodając przy tym komentarz: „(...) Naturalnie, ja sam odczuwałem chwilami w moim życiu podobny brak możliwości porozumienia, ale nigdy aż do tego stopnia. Poza tym różnica pomiędzy pisarzem a obłąkanym jest taka, że pisarz *może* posunąć się aż do szaleństwa i powrócić, obłąkani natomiast nie wracają, nie są

* *Ibid.*, str. 16.

** *Ibid.*, str. 13.

*** *Ibid.*, str. 13.

też zdolni do napisania powieści o szaleńcach. Powieść jest pewnym kosmosem, porządkiem. A chory umysłowo żyje w całkowitym chaosie".

Tu nasuwa się kolejne pytanie: co zatem ostatecznie przedstawiać ma *Tunel* — opis dramatu zazdrości czy też próbę wyrażenia tragedii samotności, niemożności porozumienia? A oto wypowiedź pisarza na ten temat*:

„Kiedy pisałem tę opowieść, miotany niejasnymi uczuciami i nie całkiem świadomymi impulsami, wiele razy zatrzymywałem się pełen niepewności, zęby ocenić to, co właśnie powstawało, tak różne od tego, co zaprojektowałem.

Zaintrygowało mnie przede wszystkim wzrastające znaczenie, jakiego nabierała zazdrość i problem posiadania fizycznego. Moją początkową ideą było napisanie opowiadania — relacji malarza ogarniętego obłędem z powodu niemożności porozumienia się z nikim, nawet z kobietą, która zdawała się rozumieć go poprzez jego malarstwo. Ale śledząc tę postać odkrywałem, że odchyła się ona od tego motywu, by zejść do spraw prawie trywialnych — seksu, zazdrości i Zbrodni. To odchylenie nie bardzo mi odpowiadało i wiele razy myślałem o porzuceniu opowiadania, które oddalało mnie tak zdecydowanie od tego, co sobie zamierzyłem. Później zrozumiałem korzenie tego zjawiska: istoty ludzkie nie mogą reprezentować udręk metafizycznych w stanie czystych idei; czynią to ucieleśniając je, zaciemniając je swoimi uczuciami i namiętnościami. Były cielesne są zasadniczo tajemnicze i działają pod wpływem impulsów trudnych do przewidzenia nawet dla samego pisarza, który służy jako pośrednik pomiędzy tym szczególnym, nierealnym, lecz prawdziwym światem fikcji a czytelnikiem, który śledzi dramat. Idee metafizyczne przeistaczają się w ten sposób w problemy psychologiczne, samotność metafizyczna przekształca się w wyizolowanie konkretnego człowieka w mieście dokładnie określonym, rozpacz metafizyczna przemienia się w zazdrość, a powieść albo opowiadanie, które miało problem ten opisać, staje się opowiadaniem o namiętności i zbrodni. Ostatek stara się zawładnąć rzeczywistością-kobietą poprzez seks. Próżne chęci".

Tak więc sama zbrodnia również posiada sens wieloznaczny w pojęciu autora — jakkolwiek rzuca on na ten

motyw pewne światło, które być może pozwoli czytelnikowi posunąć się jeszcze dalej, aniżeli uczynił to sam autor. Sabato daje tu bowiem następujący komentarz: „Możliwe jest, że zabijając swą ukochaną, Castel realizuje ostatni zamysł utrwalenia jej na wieczność. Skądinąd uświadomiłem sobie również, że jest to ostatnia i rozpaczliwa próba posiadania jej w formie absolutnej; zwrócić należy uwagę, że zabija ją pchnięciami noża w brzuch, nie przy pomocy rewolweru ani nie dusząc jej. Być może fakt ten jest znaczący. W każdym razie nie zawahałem się ani na chwilę w momencie zbrodni, nie pomyślałem o żadnym innym sposobie aniżeli nóż. Wydaje mi się, że napisałem ten fragment z tą samą instynktowną szybkością i zapamiętaniem w namiętności, z jaką Castel popełnia swą zbrodnię”*

Trudno nie przytoczyć tu pewnego zdania z eseju pisarza na temat peronizmu: „Wbrew temu, co utrzymują racjoniści i liberałowie — mówi Sabato — nie rozum jest tym, co rządzi światem, lecz namiętność, nie książka, lecz miłość i nienawiść, nie edukacja szkolna, lecz instynkt”**. Pod pokładami nawarstwiającej się od wieków kultury instynkt, wciąż żywy, rządzi często czynami człowieka. Sabato nie jest pierwszym, który tego odkrycia dokonuje, jest przecież jednym z niewielu, którzy mówią tę prawdę wprost i otwarcie, z równą niemal siłą jak ten, którego imię wraca tak często w jego — cytowanych kilkakrotnie powyżej — wypowiedziach: Stendhal.

Odsłania się tu inna perspektywa pisarstwa Sabato: literatura mająca jeszcze — poza innymi swoimi funkcjami — służyć jako środek poznania, badania tajników ludzkiej natury z tym wszystkim, co kryje się w niej nieuchronnie, zarówno w jej najbardziej wzniosłych, metafizycznych aspektach, jak i w tym, co niemal zwierzęce, tj. instynktowne.

Postaci powieściowe będą tu przy tym pretekstem: właściwym przedmiotem badań staje się sam autor — i czytelnik. Temu celowi ma właśnie służyć użycie pierwszej osoby w narracji — ostatni problem, jaki autorowi przyjdzie tu wyjaśnić:

„Wahałem się długo nad wyborem punktu odniesienia narracji, sprawy zawsze decydującej w sztuce fikcji, po--

• *Ibid.*, str. 16.

** *El otro rostro del peronismo*, str. 20.

nieważ wybór, którego się dokona, nadać może większej ekspresji i prawdy opowiadaniu albo pozbawić go ich — aż do utraty wartości. Dokonałem różnych nieudanych prób. Wreszcie zrozumiałem, że nie wystarczy to przemyśleć — że trzeba to odczuć, że proces delirium, który doprowadzić ma do zbrodni, stanie się bardziej wiarygodny, jeśli opisany będzie przez samego bohatera, każącego cierpieć czytelnikowi trochę swe własne niepokoje i wątpliwości i przekonującego na koniec czytelnika «logiką» owego delirium — aż do zabójstwa kobiety. Była to jedyna technika, która pozwalała na odczucie rzeczywistości zewnętrznej, jaka doprowadziła do szaleństwa Castela, przekazując ją samemu czytelnikowi, zmieniając go w pewnym stopniu w *alter ego* malarza. Rzeczywistość zewnętrzna, oglądana w ten sposób poprzez głowę i serce głównego bohatera, z pozycji jego całkowitej subiektywności, musiała ukazać się jako niewyraźna fantasmagoria, która wymyka się często naszemu rozumowaniu. A są krytycy, którzy zarzucają mi niejasność tego świata zewnętrznego, dwuznaczny i niewyraźny charakter tajemniczych istot, jakie poruszają się wkoło Castela! Jeśli zarzut ten byłby absurdalny już w wypadku narratora normalnego i spokojnego, o ileż bardziej jest niedorzeczny w wypadku narratora majaczącego" *.

Tak więc użycie pierwszej osoby w narracji pozwala czytelnikowi umieścić się w samym środku „ja” relacjonującego bohatera, zejść aż do głębi jego świadomości. Jak stwierdza autor **, „jest to zstąpienie do pierwotnej tajemnicy ludzkiego bytu, a biorąc pod uwagę cechy właściwe temu bytowi, zstąpienie do własnego piekła”.

Zatem drogą wiodącą do tego „własnego piekła”, gdzie kryje się wszystko, co podświadome i nie uświadomione, instynktowne, czego nie ujawnia się nie tylko przed światem, ale nawet przed samym sobą — jest powieść; co więcej, jest to droga, na której nastąpić ma spotkanie autora z czytelnikami. Znaczy to, że przekroczenie granic samotności, w której uwięziona jest ludzka istota, wniknięcie w świat innej, podobnej do nas istoty — może nastąpić dzięki sztuce. Jak i dzięki miłości. Nie jest przypadkiem, że mówiąc o tym, Sabato raz jeszcze przywoła imię „znawcy dusz ludzkich”, „teoretyka miłości” — Stendhala:

rIf *escritor* y *su*^HStosmas, str. 14.

** J6M- str. 15.

„(W sztuce) Ty (odbiorca) możesz dotrzeć do Mnie (artysty) poprzez przedmiot artystyczny, nie w przedmiocie artystycznym. Jako czytelnik powieści *Czerwone i czarne* wchodzę w najbardziej intymny kontakt ze Stendhałem, a on wchodzi w kontakt ze mną jako twórca. Może dałoby się coś podobnego powiedzieć o miłości, uznając miłość za przedmiot artystyczny. W tym wypadku «kryształizacja» Stendhalowska byłaby formowaniem tego przedmiotu" *.

Tu otwiera się pole do nieograniczonych rozważań na temat dróg, jakimi krążą pewne idee poprzez różne epoki i kontynenty. Nie posuwając się też zbyt daleko w ustalaniu wpływów czy też przeprowadzaniu paraleli w twórczości tych dwóch tak różnych od siebie, a przecież nie-jeden wspólny rys mających pisarzy — zastanowić się wypada, czy w zbrodni Castela nie mógłby rozpoznać się Julian Sorel? I *vice versa*...

Taka jest przecież najgłębsza istota literatury, że — z tych samych często źródeł czerpiąc — wciąż nowe, najzupełniej oryginalne wydobywa z nich treści i wartości.

Anna Jasińska

współczesnej prozy argentyńskiej. Przedstawiona tu została droga malarza Juana Pablo Castela od samotności do miłości, a potem szału i zbrodni.

Niemożność zidentyfikowania pod względem moralnym ukochanej Marii, zdającej się być sumą wszelkich możliwości ludzkich, zarówno dobrych, jak i złych, sprowadza Castela na pogranicze szaleństwa, odbiera mu zaufanie do ludzi i samego siebie, aby wreszcie stać się przyczyną tragedii.

Maestria, z jaką autor analizuje najtajniejsze pobudki kierujące postępowaniem swego bohatera, walory języka oraz atrakcyjność tematu sprawiają, że powieść Ernesta Sábato może dostarczyć sporo satysfakcji nawet najbardziej wymagającemu czytelnikowi.